Dziś w numerze: W. KMITOWSKI **Lenina wizja państwa** ● J. WILMAŃSKI **Remanent nieszalejącego reportera** ● K. BADZIAK **Po prostu Kutno** ● T. WOJCIECHOWSKA **Rozmyślania o goleniu** ● **Co to jest „bingo"?** ● **Ucieczka**

odgłosu

MIEJSKA HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

15. II. 1970 r.
7 (639)
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII

Fot. Vegh Elek (Węgry)

TEMAT WAŻNY I TRUDNY

Jak już informowała prasa codzienna oraz tygodniki, w tym także „ODGŁOSY", 22 stycznia br. w Łodzi Plenum Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, na sesji wyjazdowej, poświęciło swoje obrady zagadnieniu pracy i bohatera proletariackiego we współczesnej prozie. Choć książki nie rodzą się na sesjach, można mimo wszystko przypuszczać, że problematyka łódzkiej sesji zainspiruje wielu pisarzy do poszukiwań w obrębie tematyki dyskutowanej tak szeroko i wnikliwie na plenarnym posiedzeniu ZLP. Wokół tych spraw powinna być kontynuowana poważna i rzeczowa dyskusja.

Traktując łódzką sesję jako wstęp do ogólniejszych rozważań na temat roli literatury polskiej w życiu społecznym naszego kraju, publikujemy obszerne fragmenty stenogramu obrad zgodnie z tym, co zapowiadaliśmy w jednym z poprzednich numerów „ODGŁOSÓW".

JERZY MOKRAS — ŁÓDŹ
sekretarz KŁ PZPR

Tematyka obrad, będąca przedmiotem obecnej sesji, a która dotyczy problemów współczesnej literatury, ze szczególnym uwzględnieniem robotnika jako bohatera literackiego, w naszym robotniczym mieście, znanym ze swych rewolucyjnych tradycji, znalazła pełną aprobatę i zrozumienie. Dlatego też pobyt Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich w robotniczej Łodzi traktujemy jako duże wydarzenie kulturalne, wzbudzające żywe zainteresowanie załóg fabrycznych oraz wszystkich środowisk twórczych. Jest to również ważne wydarzenie w skali całego kraju...

(...) Literatura zajmuje w naszej polityce kulturalnej jedno z czołowych miejsc. Oznacza to, że literatura w Polsce Ludowej posiada znaczny wpływ i oddziaływanie na wiele milionów ludzi. Jest to jednak fakt mocno zobowiązujący. Mieści bowiem w sobie z jednej strony wysokie wymogi natury artystycznej, z drugiej oznacza także obowiązki natury ideowej, a więc potrzebę angażowania się w sprawy postępu i socjalizmu, gdyż taki jest kierunek naszej polityki kulturalnej.

Literatura rządzi się specjalnymi prawami i źle się rozwija, kiedy ją przymuszać do podejmowania takich czy innych tematów, narzucać sposoby widzenia świata i jego bohaterów. Te prawa literatury uznajemy i będziemy uznawać pod warunkiem wszakże, że i pisarz sam uzna swoje obowiązki wobec społeczeństwa, wobec ludzi czytających jego twórczość, wobec socjalizmu.

Dzisiejszą sesję roboczą Plenum Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich rozumiemy jako wyjątkowo piękny i pożyteczny dowód zrozumienia nie tylko przywilejów, ale i obowiązków naszej współczesnej literatury...

(...) Proszę nie sądzić, że kierują mną względy grzecznościowe jeśli stwierdzę, że łódzkie środowisko literackie cieszy się dużym uznaniem władz partyjnych, administracyjnych i całego naszego społeczeństwa. Jest w tym uznaniu szacunek dla ich pracowitości, wielu rzetelnych osiągnięć literackich, szacunek dla wielu cennych inicjatyw i zaangażowania społeczno-politycznego. Ważne jest również to, że nasi pisarze starają się kontynuować tradycje literackie, o których będzie dzisiaj mowa, tradycje ścisłego związku pisarza z nowym bohaterem — z robotnikiem...

(...)Robotnik wcale nie jest mniej fotogeniczny literacko niż jakikolwiek inny bohater reprezentujący grupę czy klasę społeczną. Trzeba w nim wszakże widzieć normalnego człowieka, a nie politycznego świątka, bo przecież świadomość polityczna nie jest jakąś kategorią przyznaną robotnikowi w sposób metafizyczny. Jest to proces, który odbywa się w określonym czasie i warunkach...

(...) Lecz jeśli chodzi o samą twórczość, ostatnie słowo zawsze należeć będzie do pisarzy.

JAN KOPROWSKI — ŁÓDŹ

To, co mam do powiedzenia, proszę potraktować jako rozszerzone zagajenie do dyskusji...

(...) Bliższe wejrzenie w problematykę współczesnej literatury polskiej pozwala w sposób wyraźny wyodrębnić przede wszystkim trzy rodzaje bohaterów: bohatera-inteligenta, bohatera-chłopa i bohatera marginesu społecznego. Rzuca się w oczy brak w tym spisie bohatera-robotnika...

(...) Najpiękniejsze karty literatury polskiej zapisane zostały postaciami inteligentów jako jej bohaterów. Najdłuższa to, najtrwalsza i najbardziej udana tradycja literacka. Nic też dziwnego, że i po drugiej wojnie tradycja ta nie wygasła. Bohaterowie „Popiołu i diamentu", „Rzeczywistości", „Odwetów", „Murów Jerycha", „Sławy i chwały", „Kolumbów", „Poloneza świętokrzyskiego" i wielu innych utworów, powstałych w naszym dwudziestopięcioleciu powojennym, czymże są, jeśli nie inteligentami, których życiorysy wzbogaciła wojna, tułaczka emigracyjna i zaangażowanie w walce ideowej.

Niecierpliwa epoka i jej prawodawcy przynaglają jednak literaturę domagając się od niej, i słusznie, obrazu dokonywających się przemian. Rewolucja społeczna przyniosła przeobrażenia, które nie mogły pozostawić pisarzy obojętnymi. Na horyzoncie pojawili się bohaterowie nowych czasów, pracujący chłopi i robotnicy fabryczni. Ale nie był to najszczęśliwszy

Dalszy ciąg na str. 2

ze ŚWIATA

BLISKI WSCHÓD, dający od napaści Izraela na kraje arabskie powody do zaniepokojenia opinii publicznej, znów znajduje się na czołówkach wielu gazet. Każdego dnia agencje prasowe donoszą o incydentach zbrojnych, podejmowanych przeciwko krajom arabskim. Są to już nie pojedyńcze akcje, lecz całe pasmo prowokacji. Równocześnie na okupowanych terenach Izreal dopuszcza się coraz to nowych aktów terroru. Na te zaczepne działania — ZRA odpowiedziała ostatnio kilku udanymi kontrakcjami.

Oczywiście, niekorzystny rozwój wydarzeń dawno już można by powstrzymać, a nawet pokojowo rozwiązać konflikt, gdyby nie podwójna rola, jaką w nim spełniają Stany Zjednoczone. Z jednej strony uczestniczą one w konsultacjach czterech wielkich mocarstw, których celem jest wyprowadzenie konfliktu z fazy zagrażającej pokojowi, z drugiej zaś — nie czynią nic, aby nakłonić Izrael do zrealizowania postanowień Rady Bezpieczeństwa i powstrzymać przed zbrojnymi incydentami. Więcej — Tel Awiw ma wiele dowodów na to, że może liczyć na różnorodne wsparcie Stanów Zjednoczonych i to zachęca go do sprzecznego z interesem pokoju działania. Odpowiedzialność za wytworzoną sytuację spada więc na Waszyngton.

Przypominamy to w związku z listem premiera Kosygina do trzech mocarstw zachodnich, jaki w ub. tygodniu doręczony został szefom rządów USA, W. Brytanii i Francji.

Z rejonu Bliskiego Wschodu jeszcze jedna ważna wiadomość: w Kairze odbył się mały szczyt arabski. Wzięli w nim udział szefowie Jordanii, Sudanu, Syrii i ZRA oraz wicepremier rządu Iraku. Celem spotkania przedstawicieli krajów, bezpośrednio narażonych na agresywne działania Izraela, było przedyskutowanie militarnych aspektów obecnego stadium konfliktu. Obrady toczyły się przy drzwiach zamkniętych, ale prez. Naser oświadczył, iż ZRA opowiada się za politycznym, a nie militarnym rozstrzygnięciem bliskowschodniego problemu. Uczestnicy spotkania skrytykowali Stany Zjednoczone za dostarczanie broni Izraelowi. Prasa zachodnia nazywa mały szczyt „szczytem frontowym" i twierdzi, że jego obrady będą miały poważny wpływ na dalszy bieg wydarzeń w tym rejonie świata.

W WARSZAWIE przez dwa dni trwała wymiana poglądów na tematy polityczne między rządami Polski i NRF, reprezentowanymi przez wiceministrów: Winiewicza i Duckwitza. Komunikat PAP stwierdza, że „rozmowy prowadzone były w sposób bezpośredni i rzeczowy" oraz że będą kontynuowane w stolicy Polski w drugim tygodniu marca.

Do spotkania doszło w wyniku naszej inicjatywy, przedłożonej 17 maja ub. roku przez Władysława Gomułkę. Zaproponowaliśmy wówczas rządowi NRF zawarcie układu o ostatecznym charakterze granicy na Odrze i Nysie. Inicjatywa rozmów, mających ścisły związek z przygotowaniami do europejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa i współpracy, została podjęta i w dniach 5 i 6 bm. doszło do wstępnej wymiany poglądów.

Warszawskie spotkanie wzbudziło duże zainteresowanie w Europie, co znalazło wyraz również w licznych komentarzach prasowych. Z naszego punktu widzenia wynik tych rozmów może być tylko jeden: uznanie granicy na Odrze i Nysie również przez drugie państwo niemieckie. Nie są to więc żadne „rokowania" na temat tej granicy, ponieważ o jej ostatecznym charakterze przesądzono już przed 25 laty, ale rozmowy mające potwierdzić przez NRF istniejący stan rzeczy. Taki akt ze strony koalicyjnego rządu Brandta byłby ważnym krokiem w kierunku „oczyszczenia przedpola" przed europejską konferencją, ideę zwołania której poparły już 24 rządy.

WŁOCHY przeżywają swój kolejny kryzys rządowy. Premier monopartyjnego, chadeckiego rządu — Rumor zgłosił na ręce prezydenta Saragata dymisję gabinetu. Mniejszościowy gabinet okazał się całkowicie niezdolny do unowocześnienia struktur społecznych, co staje się pilną koniecznością.

W maju mają się odbyć we Włoszech wybory komunalne i reprezentacji regionalnych. Przed 22 laty konstytucja zobowiązała do wprowadzenia regionów. Za urzeczywistnieniem tego opowiadają się komuniści oraz stronnictwa dawnej centrolewicy, blokują tę reformę: neofaszyści, liberałowie i monarchiści. Trwający od dłuższego czasu kryzys zaostrzył się. W tej sytuacji powróciła idea rządu centrolewicowego. KC Włoskiej Partii Socjalistycznej 5 bm. wypowiedział się większością głosów za udziałem partii w koalicji, złożonej z chrześcijańskich demokratów, republikanów, socjaldemokratów i socjalistów. I chociaż rozmowy na temat programu takiego rządu i jego składu mogą potrwać — odnowienie centrolewicy jest chyba tylko kwestią czasu.

Nowe wydanie starej koalicji nie rozwiązuje jednak włoskich problemów. Masowe strajki z jednej strony, akcje faszystowskich bojówkarzy z drugiej — świadczą, jak ciężką chorobą dotknięte są Włochy. Ograniczone manipulacje rządowe nie odzwierciedlają zmian, jakie następują w społeczeństwie i nie mogą być lekarstwem dla kraju, w którym wciąż wzrasta temperatura nastrojów. Stabilny może być tylko taki gabinet, który wyjdzie naprzeciw oczekiwaniom i postulatom społeczeństwa.

W. SŁAWSKI

Temat ważny i trudny

Dalszy ciąg ze str. 1

okres dla ich debiutu na kartach literatury. Z przyczyn powszechnie znanych, których nie ma chyba potrzeby omawiać szerzej, najlepsze nawet intencje obróciły się w niwecz, dały dzieła kalekie, nie posuwające naprzód ani rozwoju literatury, ani talentu ich autorów...

(...) Z klęski tej bodaj najwcześniej podniosła się literatura o tematyce wiejskiej... Powieści Mortona i Kawalca, Czernika i Kubickiego, Ożoga i Papiera, a z młodszych Nowaka, Myśliwskiego i Pilota — świadczą dowodnie, że wieś jako temat literacki została zrehabilitowana, a ruch odnowy ożywia zarówno sferę poszukiwań treściowych jak i formalnych...

(...) Stosunkowo późno, ale za to z impetem, wkroczył do literatury bohater marginesu społecznego, ów niespokojny outsider, któremu doskwierają wszelkie więzy życia zbiorowego, nieokiełznany w swojej niepohamowanej żądzy życia pod jakimikolwiek układami prawno-moralnymi... Nieżyjący Marek Hłasko rozpoczął serię takich książek. Za nim, nie naśladując go jednak, lecz wnosząc nowe wartości, poszli Andrzej Brycht, Marek Nowakowski, Himilsbach, a z najmłodszych — Janusz Głowacki i Andrzej Makowiecki.

Niektórzy krytycy przejawiają tendencję do przeceniania tej literatury. Niesłusznie. Ale błędem byłoby ją lekceważyć. W odnowie tematu literackiego ma ona swoje znaczenie, tym większe, że poparte niewątpliwymi talentami.

Teraz głębszy oddech... Pora wszcząć poszukiwania za bohaterem robotnikiem. Gdzie on jest? Jak wygląda? Kto się nim zajmuje?

(...) Po roku 1945 praca nabrała innego znaczenia: przestała być przekleństwem, ale nie przestała być trudna. Skomplikowała się sama technika pracy, jak i jej organizacja. Szybki rozwój przemysłu, przekształcenie Polski z kraju rolniczego w kraj przemysłowy, pociągnęło za sobą poważne przeobrażenia w życiu zbiorowym i życiu jednostek. Wędrówki ze wsi do miasta, adaptowanie się w nowym pejzażu przemysłowym, w nowym środowisku i przy nowym warsztacie pracy stało się źródłem głębokich przeżyć, radości i dramatycznych niekiedy wydarzeń...

(...) Powieści o problemach pracy, z robotnikami jako bohaterami głównymi, grzeszyły, jak się już wspomniało, nadmiarem schematyzmu i bodaj w żadnej z nich nie udało się autorom stworzyć bohatera-robotnika, który utrwalił by się w pamięci czytających. Leninowska zasada — „literatura odbiciem życia" — pozostała w sferze postulatów teoretycznych, albowiem faktyczna rzeczywistość, pełna konfliktu i nieuniknionego dramatyzmu, rzadko lub wcale nie przedostawała się na karty ówczesnych produkcyjniaków. Niepowodzenia z tematem pracy spowodowały na pewien czas zgagę u pisarzy. Nikt nie podejmował spraw produkcyjnych w obawie, by, po pierwsze, nie ponieść klęski, po drugie, by nie narazić się na śmieszność w oczach intelektualistów odnoszących się niechętnie do tego rodzaju aspiracji literackich...

(...) Należy w tym miejscu stwierdzić nie bez melancholii, że krytyka nie wykazuje większego zainteresowania tą dziedziną twórczości literackiej. W tej sytuacji Witold Nawrocki jest jednym z niewielu, a może nawet jedynym krytykiem, zajmującym się obchodzącą nas tutaj problematyką. Pisał on o nowych książkach Gustawa Morcinka, Wydrzyńskiego, Baumgartena, Danuty Bieńkowskiej, Klimas-Błahutowej i jeszcze kilku innych, co zwalnia mnie poniekąd z obowiązku ich analizy i oceny...

(...) Ilościowy rachunek niechaj nas nie uspokaja. Twórczość poświęcona pracy znajduje się wciąż w fazie wyjściowej, w fazie poszukiwań. Pełnowymiarowy bohater pracy, robotnik z krwi i kości, nie zadomowił się jeszcze na dobre w naszej literaturze i nie stał się, w sposób naturalny, niejako na co dzień, obiektem pisarskich zainteresowań. Jedną z przyczyn niewystarczającej obecności problematyki pracy w literaturze widziałbym w biografii pisarzy. Oczywiście pisarz nie musi wszystkiego przeżywać konkretnie i dosłownie, od czegóż talent i potęga wyobraźni. Ale nawet najtęższy talent i największa wyobraźnia nie zastąpią doświadczenia, do zdobycia którego prowadzą, rzecz jasna, różne drogi i różne sposoby. Z jednego w każdym razie zdaliśmy sobie sprawę: literacki opis pracy nie może być celem samym w sobie. Praca jest środkiem do celu, a celów tych tyle, ile pracujących ludzi...

(...) Człowiek utwierdza swoje istnienie poprzez pracę. Jest tym — co zdoła, pracując, po sobie zostawić. Praca nobilituje jego człowieczeństwo, sprzyja zdobyciu należnego miejsca w gromadzie ludzkiej.

Nie mówię tu o pracy jako o prawie i obowiązku. To, co oczywiste, rzadko pasjonuje pisarzy. Pasjonuje pisarza to, co ukryte, niejasne, wątpliwe, sporne. Praca tam i wtedy może stać się tematem literatury, gdy kryje w sobie zaczyn konfliktu...

(...) Wydaje mi się, że o tej powszedniej Polsce, o tym największym temacie naszej literatury znacznie więcej powiedzieć może pisarz, który zajmie się tymi, co ten dzień powszedni budują w trudzie i znoju, to jest właśnie ludźmi pracy.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ — ŁÓDŹ

(...) Chociaż nie jest to rzeczą łatwą, motyw pracy może i powinien znajdować swoje odbicie w literaturze. I gdybym mógł, jak bohater powieści Lesage'a „Diabeł kulawy", zdejmować dachy i zaglądać do mieszkań, podglądać prywatne życie ludzi pracy, to bym to

uczynił. Chociażby po to, żeby potwierdzić moją niepełną obserwację, że w naszych warunkach ustrojowych praca jest niejednokrotnie przedłużeniem życia osobistego, że jest bogata w treści głębokie i prawdziwie ludzkie. Zobaczyłbym wtedy jak po całodziennym wysiłku w fabryce i w biurze ludzie chodzą do szkół wieczorowych, ażeby pogłębiać swoje wiadomości, udoskonalić swój fach. Przekonałbym się, z jakimi trudnościami muszą nieraz walczyć. Ujrzałbym, jak im to utrudnia jakiś biurokrata — kierownik lub majster zadufek, pomimo wszelkich ułatwień, jakie im stwarza państwo ludowe w odpowiednich przepisach ustawodawczych. A więc sposób napisania powieści o temacie pracy to nie droga, moim zdaniem, do fabryk lub pegeerów, lecz raczej do ludzi w ich prywatnym życiu...

(...) Proszę o wybaczenie za konieczny w tym miejscu w mojej wypowiedzi truizm — obserwacja, doświadczenie, pewne przeżycie — oto konieczne i uznane warunki powstania wartościowego utworu o tematyce pracy...

WILHELM SZEWCZYK — KATOWICE

(...) Padły tutaj słowa, które stale się będą powtarzać, my sami chętnie je powtarzamy, że wreszcie powinna się znaleźć wielka, epicka powieść o klasie robotniczej. Ale o tej klasie robotniczej, zauważmy, mówi się u nas dość rzadko. Mówi się także ozdobnie raczej, ale mówi się dość rzadko o jej autentycznych trudnościach. A są to trudności tak ogromne, że wątpię, aby one mogły ze swoimi skomplikowanymi przyczynami wkroczyć do literatury pięknej. A zatem czy literatura piękna znowu będzie poruszała się na obrzeżach tego wielkiego tematu? I byłoby dobrze, aby na tych obrzeżach tworzyła jakieś fascynujące obrazy, które pokazałyby nam przynajmniej fragment istnienia pracy i myślenia tego wielkiego świata pracy w naszym społeczeństwie. I dla tego, tak ja sobie przynajmniej wyobrażam, wyznaczając pisarzom, którzy interesują się tym tematem, którzy go drążą z tytułu własnych autentycznych doświadczeń, tego rodzaju funkcję, nie żądajmy od nich za wiele. Ale jeśli rzeczywiście stworzą jakieś przejmujące obrazy, byłoby dobrze, ażeby one były optymistyczne, (ale nie muszą być optymistyczne, ponieważ pesymizm także jest twórczy) uważajmy ich także za równorzędnych partnerów w literaturze...

TADEUSZ PAPIER — ŁÓDŹ

(...) Łódź jest miastem, które pierwsze w Polsce nawiązało ścisłe kontakty między pisarzami i fabrykami. Seweryna Szmaglewska, w tym okresie, kiedy mieszkała w Łodzi, Leon Gomolicki, Władysław Rymkiewicz, Jan Koprowski, Marian Piechal, Wiesław Jażdżyński — oto nazwiska zaczynające długą listę pisarzy, którzy studiowali życie robotników. Dla ożywienia kontaktów pisarzy z robotnikami narodziła się tak zwana akcja patronacka. Na czym ona polega? Pomijam tu bardzo rozbudowane kontakty indywidualne: niektóre nazwy instytucji i nazwiska pisarzy stały się już prawdziwymi instytucjami. A więc nie ma mowy o przypadkowości spotkań. Nazwiska pisarzy należą do poszczególnych fabryk. Pisarze wnieśli wiele cennych inicjatyw do poprawy pracy bibliotek, klubów i świetlic przyzakładowych. Tą opieką objętych jest w Łodzi dwadzieścia zakładów pracy...

(...) Pisarz dostrzega... przede wszystkim głos ludzki. Zachodzimy po to do fabryk, aby ten głos ludzki usłyszeć. W Zakładach im. Kunickiego spotkałem robotnicę, która przed wejściem do sali bibliotecznej zdejmowała obuwie. Oto głos łódzkiej robotnicy...

JANINA DZIARNOWSKA — WARSZAWA

(...) Wydaje mi się, że mówiąc o temacie pracy, mówiąc o temacie klasy robotniczej w literaturze, musimy stale pamiętać o tym, że wychodzimy od jakiejś wielkiej całości, która odegrała olbrzymią rolę i społeczną, i polityczną, i ją bez ustanku odgrywa. W gruncie rzeczy wszystko, co się dzieje w Polsce, to jest przez tę klasę robotniczą w jakiejś formie stworzone. My niejednokrotnie widzimy właśnie resorty, i widzimy aparat partyjny, widzimy bezpośrednich działaczy, a nie widzimy tego, co jest jądrem tego, z czego to wszystko płynie. I jeśli to sobie uprzytomnimy, to wydaje mi się, że unikniemy bardzo wielu nieporozumień...

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI — ŁÓDŹ

(...) Człowiek nie tylko istnieje i ujawnia swe bogactwo psychiczne

Prezydium Zjazdu (od lewej): J. M. Gisges, J. Iwaszkiewicz, Cz. Centkiewicz. Przemawia: J. Koprowski
Fot. A. Wach

po pracy, ale i w ciągu iluś tam godzin dziennie, godzin bynajmniej nie będących dla jego ciekawej jaźni okresem martwym na podobieństwo wyrwy zwanej potocznie snem — człowiek, jak wiadomo, doznaje przeżyć i w czasie pracy. Więc nie chodzi wyłącznie o pewien specyficzny gatunek książek o klasie robotniczej pracującej w określonych zakładach produkcyjnych, jakkolwiek powieści tego typu są niesłychanie potrzebne. Chodzi w ogóle o powieść współczesną, o powieść realizującą właśnie intencje szesnastowiecznych humanistów. To jest o powieść, przy lekturze której niekoniecznie palęontolog, ale późny, czy bardzo późny lud, będzie mógł oddać sprawiedliwość całemu człowiekowi naszych czasów na przestrzeni całego jego zwykłego dnia z dodatkiem pewnych sympatycznych tajemnic godzin nocnych. Człowiekowi pełnemu, a nie uciętemu przez zegar, realizującemu swoją humanitatę po gwizdku na fajerant...

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI — ŁÓDŹ

(...) Ja też mam tutaj taki zakład pracy i dzisiaj, po dwóch latach, mógłbym powiedzieć, że on mi przypomina bardzo stare, polskie drzewo, taki stary polski dąb.

Gdyby go tak właśnie przekroić i przyjrzeć się tym słojom, toby się zobaczyło, że tam się układają pokolenia. To są już prawie dynastie. Oto ten, od rdzenia najdalszy, ci najstarsi robotnicy wciąż temu zakładowi wierni, chociaż w nim już nie pracują... To oni przeszli przez to wszystko, przez co przeszedł polski działacz polityczny, polski komunista. Aż do tych najmłodszych, do tych prawie dzieci, wychowanych już w tym zakładzie par excellence socjalistycznym, gdzie właściwie wszystko jest już możliwe, na swój sposób wszystko jest jakoś udane. Tam właśnie, w tych starych zakładach, ma się wszystko, co można powiedzieć o polskim robotniku...

WŁADYSŁAW ŻESŁAWSKI — WARSZAWA

(...) Jestem jednym z autorów powieści radiowej „Matysiakowie"... etatowym pracownikiem Polskiego Radia. Do moich obowiązków redakcyjnych należy zbieranie materiałów, stąd przez dwa dni w tygodniu po kilka godzin jestem w różnych zakładach. Jestem zaprzyjaźniony z ludźmi, z robotnikami, mają do mnie zaufanie, mówią o tym, co my piszemy i o tym, co powinno się znaleźć...

(...) Chcieliby robotnicy przeczytać o sobie powieść... Pytają się nas zawsze, kiedy „Matysiakowie" ukażą się jako książka...

(...) Ja jestem dumny z tej pracy i z tego, że jestem wierny tym ludziom i do końca moich dni nie zdradzę ich. Myślę, że i oni mnie nie zdradzą...

DANUTA BIEŃKOWSKA — WARSZAWA

(...) Mówimy tutaj o konieczności zajęcia się problematyką pracy. Chodzi jednak nie o przymus pewnej tematyki, która jeszcze u nas jest kopciuszkiem i w krytyce, i w wydawnictwach, tylko o szansę dla nas wszystkich... Ponieważ proza psychologiczna ze wszystkimi jej udziwnieniami, proza bardzo formalistyczna właściwie do pewnego stopnia już się wyczerpuje. To nowe spojrzenie, nowa tematyka razem z poszukiwaniami nowych form wyrazu dla tej problematyki, są niewątpliwie szansą dla literatury, nie tylko w naszym kraju. I tutaj znowu sprawa krytyki... Nie ma nic dziwnego, że ambitny krytyk nie chce omawiać żadnej słabszej książki, nawet jeśli jest ona poświęcona szlachetnej tematyce pracy. Natomiast dziwię się, że stosunkowo mało omówień, i to pogłębionych, mamy na temat tych książek właśnie bardzo ambitnych i bardzo wartościowych. Ale jeszcze bardziej dziwię się temu, że właściwie krytyka nie występuje z pewnymi postulatami. Nie takimi sloganowymi, nie czysto politycznymi, ale na temat formy, samego kształtu takiej powieści. Mnie się wydaje, że są bardzo ciekawe możliwości... Bo przecież od krytyki, zwłaszcza od naszej zaangażowanej krytyki, oczekujemy propozycji, które by także nam dawały do myślenia...

KONRAD FREJDLICH — ŁÓDŹ

(...) Ja w swoim życiu napisałem sporo reportaży, przewędrowałem ten kraj z notesem reporterskim w ręku i śmiem twierdzić, że w stosunku do człowieka piszącego istnieje w zakładach produkcyjnych nieufność. Kiedy przyjdzie do dyrektora fabryki, to się od niego niczego nie dowie. Oczywiście ja chcę się dowiedzieć czegoś od ludzi, tylko że ten dyrektor nie ułatwi żadnych kontaktów. Wprost przeciwnie: postara się, żeby tych kontaktów było jak najmniej. Ja nie wiem, czy rzeczywiście w naszych fabrykach jest tak źle, na pewno tak źle nie jest. A przecież odnoszę wrażenie, jakby administratorzy fabryk chcieli coś ukryć przed piszącymi i jednocześnie przed społeczeństwem, bo my przychodzimy po to, aby swoje obserwacje przekazywać potem w formie książek ludziom...

EDMUND NIZIURSKI — WARSZAWA

(...) My, pisarze, nie załatwimy sami tej problematyki... To jest problematyka, którą powinni podejmować wspólnie powieściopisarze, reportażyści, publicyści i dobrze przeprowadzić rozdział między kompetencjami poszczególnych twórców. Bo są takie tematy, są takie sprawy, które o wiele lepiej przedstawią publicyści... A my, powieściopisarze, pamiętajmy zawsze o tym, że nasza literatura ma mieć szeroki oddech, że nie może być literaturą na dzisiejszy dzień ani nawet na jutro. Tak powinniśmy się zawsze ustosunkować, jakby to miało za lat sto (mówił o tym kolega Chróścielewski) być dla tych archeologów świadectwem o dzisiejszej epoce.

JERZY WAWRZAK — KATOWICE

(...) Wydaje mi się, że książki o tej problematyce mają tylko jedną szansę: muszą to być książki naprawdę zaangażowane, współczesne. Bo nie sposób pisać o pracy bez poruszania tych wszystkich problemów współczesności. Ze swoich doświadczeń (wszędzie uważają mnie za tego pisarza „reżimowego", prorządowego), muszę stwierdzić, że mam sporo nieraz kłopotów...

(...) Pisarz, polski pisarz, musi być chyba jednoznaczny, wychodzić z pozycji afirmatywnych socjalizmu, w tym najszlachetniejszym oczywiście sensie, że pisarz musi być za rzeczywistością, ale nie może zapominać o swoim wewnętrznym sprzeciwie...

ZYGMUNT STOBERSKI — WARSZAWA

(...) Wczoraj w „Polityce" przeczytałem świetny reportaż ukazujący pracę robotników, którzy z olbrzymim poświęceniem pracowali pod Płockiem... To jest właśnie pokazanie tego polskiego robotnika, który z wielkim poświęceniem pracuje dla Polski Ludowej... Ale mnie się zdaje, że to jest jakiś sygnał dla nas wszystkich... Trzeba jakoś trochę tych pozytywów pokazać.

HENRYK WORCELL — WROCŁAW

(...) Dlaczego nasza literatura debiutantów jest taka robaczywa? Nie z poziomu ptaka, tylko tego robaka, który widzi szczegóły? Zamiast miłości — miłostka, zamiast problemu jakiegoś — problem mieszkaniowy, posady i tak dalej. Mały realizm! Może właśnie dlatego, że my jesteśmy zafascynowani albo ktoś nas zniewala, narzuca nam światopogląd niesłuszny, nieprawdziwy. Ja nie jestem klerykałem, ale niech nas Pan Bóg broni od ucieczki przed metafizyką...

MARIA KLIMAS-BŁAHUTOWA — KATOWICE

(...) Mnie niektóre wypowiedzi krytyczne bardzo niepokoją. To nie są wypowiedzi krytyczne. Trudno mi tu w tej chwili znaleźć właściwe określenie, ale bardzo często czytam „cenzurki". „Cenzurki" są takie, że o ile się orientuję, autor „cenzurki" nawet książki nie czytał, że ją może z wierzchu obejrzał... Chodzi mi tu właśnie o sprawę odpowiedzialności człowieka, który pisze o czyjejś pracy. My chcemy pisać o pracy z poczuciem odpowiedzialności i ci, co piszą o naszej pracy, niechaj także nie zwalniają się od poczucia odpowiedzialności za swoje wypowiedzi...

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ — WARSZAWA

Mnie jest bardzo trudno podsumować tak poważną i tak skomplikowaną dyskusję. Ale pewne wnioski jednak można z niej wyciągnąć. Otóż jak widzę w stosunku do tematu pracy istnieją dla literatury dwa niebezpieczeństwa. Jedno z niebezpieczeństw zawiera się w tym, że praca jest przeżyciem a nie grą... Jeżeli ktoś pójdzie do pracy na dwa miesiące, to będzie to odgrywanie a nie przeżycie. Drugim niebezpieczeństwem jest mitologizowanie pracy w zakładzie produkcyjnym, stworzenie tego jakiegoś koszmaru, czegoś takiego niezwykłego... U Stanisława Brzozowskiego praca jest jakimś mitem, czymś nierzeczywistym, nie jest przeżyciem...

(...) Wszystko, co piszemy, powinno być przeżyciem. I mam nadzieję, że to nasze zebranie, to nasze spotkanie, które, jak się okazało, o wiele przewyższyło to, czegośmy się po nim spodziewali, ułatwi nam podejście do naszych zadań. Głębokie podejście do tego, czym jest nasze życie w ogóle, czym są całe jego połacie, czym jest miłość, śmierć, praca...

Od lewej: W. Szewczyk, E. Paukszta, A. Braun, A. Zawilski, D. Bieńkowska.
Fot. A. Wach

WŁADYSŁAW KMITOWSKI

Lenina wizja państwa

„Ostatnio usilnie pracowałem nad kwestią stosunku marksizmu do państwa, nagromadziłem dużo materiału, doszedłem jak mi się zdaje do bardzo ciekawych i ważnych wniosków (...)" pisał Lenin w liście do Inessy Armand.

Elementy wizji przyszłego państwa socjalistycznego zawarte są już w pisanych w Szwajcarii, bezpośrednio po rewolucji lutowej „Listach z daleka". Rozwija je następnie Lenin w licznych artykułach i przemówieniach, od znanych „tez kwietniowych" począwszy, by w przededniu Rewolucji Październikowej przedstawić je najpełniej w pracy „Państwo a rewolucja". Rozdział siódmy tej pracy nigdy nie został przez Lenina napisany. Napisanie jego trzeba było bowiem odłożyć. Przyszło przeprowadzić rzeczywiste „doświadczenie rewolucji". Pisało go potem życie. Ostatnia karta nie została napisana do dziś.

W dniach poprzedzających rewolucję brak było doświadczenia praktycznego, umożliwiającego szczegółowe opracowanie modelu politycznego państwa socjalistycznego. Doświadczenie w zakresie sprawowania władzy przez proletariat nie było o wiele bardziej bogate aniżeli to, które uogólniał Marks. Prace Lenina nie zawierają pełnego modelu formy państwa proletariackiego. Nie było to zresztą zamiarem Lenina. Problemy tu przedstawione dotyczą najistotniejszych elementów formy państwa socjalistycznego. Wiele z nich nie straciło do dziś nic ze swojej aktualności.

Pewne było jedno: „zdobycie władzy politycznej przez proletariat nie jest opanowaniem gotowej maszyny państwowej lecz rozbiciem, zburzeniem jej i zastąpieniem przez nową. Jaką więc nową?". Jaka winna być organizacja, zakres działania i metoda działania władzy proletariackiej — jakim miał być ustrój polityczny przyszłego państwa?

Przyszłe państwo winno być w pierwszym rzędzie **demokratyczne**, albowiem „proletariat nie może zwyciężyć inaczej jak tylko przez demokrację, tj. urzeczywistniając demokrację w całej pełni i wiążąc z każdym krokiem swej walki żądania demokratyczne w najbardziej stanowczym ich sformułowaniu. Opierając się na demokratyźmie już urzeczywistnionym, demaskując jego niezupełność w warunkach kapitalizmu, żądamy obalenia kapitalizmu i wywłaszczenia burżuazji jako niezbędnej podstawy(...) dla pełnej i wszechstronnej realizacji wszystkich przeobrażeń demokratycznych. Jedne z tych przeobrażeń będą rozpoczęte przed obaleniem burżuazji inne w okresie tego obalenia, jeszcze inne — po nim".

Przyszłe państwo socjalistyczne winno więc mieć taką strukturę organizacyjną, która umożliwi masom maksymalny udział w rządzeniu. Koniecznym warunkiem urzeczywistnienia będzie dyktatura proletariatu, a jej formą polityczną — republika parlamentarna.

Lenin krytykując ostro burżuazyjny parlamentaryzm aprobował system przedstawicielski. „Wyjście z parlamentaryzmu polega oczywiście nie na zlikwidowaniu instytucji przedstawicielskich i obieralności(...). Bez instytucji przedstawicielskich i obieralności nie możemy sobie wyobrazić nawet demokracji proletariackiej...".

Demokrację bezpośrednią uważał Lenin za niemożliwą do urzeczywistnienia. Widział potrzebę istnienia instytucji przedstawicielskich i pragnął by były one wyposażone w faktyczną władzę i by były wybieralne. Idąc za Engelsem pisał, iż komuna zastosowała dwa niezawodne środki: wybieralność na wszystkie stanowiska w administracji, w sądownictwie, szkolnictwie i ustanowienie płacy urzędników na poziomie płacy robotników. W aparacie zarządzającym gospodarką, sprawującym kontrolę i nadzór postulował kolejne uczestnictwo, często zmieniające się, wszystkich ludzi pracy. Przyjmując za podstawę system przedstawicielski, uzupełniał go Lenin, elementami demokracji bezpośredniej, nie **tylko** w zakresie ustawodawstwa ale także zarządzania i sądownictwa. Przejście bowiem do socjalizmu jest niemożliwe bez „...pewnego nawrotu do prymitywnego demokratyzmu".

Klasa robotnicza winna więc sprawować władzę w trojaki sposób: po pierwsze bezpośrednio, po drugie przez wybieralne demokratyczne organy przedstawicielskie, po trzecie wreszcie przez wyodrębniony aparat administracyjny kontrolowany przez organy przedstawicielskie oraz bezpośrednio przez masy.

Istotną cechą państwa proletariackiego winien być stale rosnący szeroki udział mas w rządzeniu, polegający na przejmowaniu funkcji spełnianych przez specjalne organy oraz w drodze rozszerzania kontroli istniejących specjalnych organów.

Terenowe organy powinny posiadać szerokie kompetencje. Rząd centralny winien wykonywać funkcje istotne i ważkie. „Centralizm(...) bynajmniej nie wyłącza szerokiego samorządu terenowego, który przy dobrowolnej jedności państwa przez komuny i prowincje usuwa bezwarunkowo wszelki biurokratyzm i wszelkie komenderowanie z góry".

Aparatem państwa winna kierować awangarda mas, winna ona również wytyczać cele i utrwalać treść polityki państwa. „Świadomi robotnicy powinni mieć rolę kierowniczą, potrafią oni jednak wciągać do rządzenia prawdziwe masy pracujących i uciskanych (!!) Nie jesteśmy utopistami. Wiemy, że pierwszy lepszy niewykwalifikowany robotnik czy pierwsza lepsza kucharka nie potrafi od razu sprawować rządów w państwie... Żądamy, aby świadomi robotnicy i żołnierze uczyli się rządzić państwem i aby naukę tę rozpoczęli niezwłocznie tj. aby niezwłocznie wciągać do tego dzieła ludzi pracy i całą biedotę".

Udział mas w rządzeniu rozumiany tu jest więc dwojako, z jednej strony udział w określaniu polityki państwa z drugiej w wykonywaniu tej polityki. Postulując połączenia w instytucjach przedstawicielskich funkcji ustawodawczych i wykonawczych chciał wyposażyć organy wybieralne w faktyczną władzę z drugiej strony nadać ich działalności charakter konstruktywny.

Instytucją taką mogły być tylko rady delegatów robotniczych, żołnierskich, marynarskich i chłopskich. „Można chyba krótko drastycznie wyrazić całą sprawę tak: zmiana starej maszyny państwowej przez rady delegatów robotniczych i ich zaufanych ludzi. W tym sedno!!"

Jedyną drogą, która wiodła do urzeczywistnienia tak widzianej organizacji państwa była — dyktatura proletariatu. „Od demokracji kapitalistycznej — siłą rzeczy ograniczonej, usuwającej cichaczem biedotę i dlatego na wskroś obłudnej i kłamliwej — rozwój nie postępuje naprzód w sposób prosty, równy, gładki ku coraz to większej demokracji, jak to przedstawiają sprawę liberalni profesorowie i drobnomieszczańscy oportuniści. Bynajmniej. Rozwój naprzód tzn. do komunizmu, idzie przez dyktaturę proletariatu i inaczej być nie może, bo nikt inny nie może złamać oporu wyzyskiwaczy — kapitalistów i w żaden inny sposób dokonać tego nie można. (...)A dyktatura proletariatu to znaczy zorganizowanie się awangardy mas uciskanych w klasę panującą w celu zdławienia ciemiężców, nie może dać w wyniku po prostu tylko rozszerzenia demokracji. Wraz z olbrzymim rozszerzeniem demokratyzmu, który po raz pierwszy staje się demokratyzmem dla biednych(...) dyktatura proletariatu wprowadza pewną ilość wyłączeń od zasady wolności w stosunku do ciemiężców, wyzyskiwaczy i kapitalistów. Ich zdławić musimy by uwolnić ludzkość od niewolnika najemnego, ich opór trzeba złamać siłą — a rzecz jasna, że tam gdzie jest dławienie, ist nieje przemoc, nie ma wolności, nie ma demokracji. Demokracja dla olbrzymiej większości ludu oraz zdławienie przemocą, tzn. wyłączenie z demokracji ciemiężców ludu — oto jaka przemiana demokracji dokonuje się w okresie przejściowym od kapitalizmu do komunizmu".

„Wyłączenie z demokracji" burżuazji rozumiał Lenin jako faktyczny brak możności dla klas posiadających realizowania przez aparat państwowy swych interesów. Nie wykluczał również w swych przewidywaniach możliwości formalno-prawnych. Znalazła później owa możliwość swój wyraz w Konstytucji RSFSR, dzielącej wszystkich obywateli na klasy pracujących i nie pracujących. Za osoby nie pracujące (burżuazję) byli uważani: osoby, które dla celów zarobkowych wynajmują robotników, osoby, które pobierają dochody z kapitału, handlarze i pośrednicy, zakonnicy i duchowni wszelkich wyznań, urzędnicy dawnej policji, itd.

Tylko pracujący uzyskali prawa polityczne. Tylko pracujący mogli osiągać pewne urzędy. Pracujący byli chronieni specjalnymi przepisami co do wysokości czynszu i czasu trwania najmu w mieszkaniach przez nich zajmowanych, pracujący mieli ułatwienia w przyjęciach na uniwersytety.

W ten sposób nie pracujący stanowiący mniejszość zostali pozbawieni realizacji swych postulatów w zakresie polityki państwa.

Rozumiał Lenin dyktaturę dwojako: z jednej strony wyrażała ona klasową treść władzy państwowej — państwa, w którym władza należy do proletariatu, z drugiej zespół środków i metod służących realizacji panowania klasowego. Nie konkretyzował i nie absolutyzował owych środków i metod, uważał, że konkretyzację może przynieść tylko doświadczenie historyczne.

Wyłączność panowania proletariatu oznaczała, że tylko on decyduje o kierunku działalności aparatu państwowego, ale nie wyklucza możliwości akceptacji współdziałania w sojuszu z inną klasą, czy częścią innej klasy.

Odpowiadając na pytanie jak potrafi rządzić Rosją 240 tysięcy członków partii bolszewickiej Lenin pisał: „Wychowując partię robotniczą — marksizm wychowuje awangardę proletariatu, która potrafi wziąć władzę i poprowadzić cały lud do socjalizmu, organizować nowy ustrój i nadawać mu kierunek, być nauczycielem, kierownikiem, wodzem ogółu mas pracujących i wyzyskiwanych w organizowaniu ich życia społecznego bez burżuazji i przeciw burżuazji... w interesie większości biednych przeciw bogatym.

W tym rozumieniu Lenin nadal żywy wśród nas.

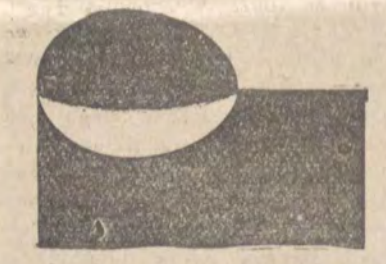

„Operacja Griff"

W ostatnich miesiącach wojny przywódcy walącego się w gruzy III Reichu chwytali się przysłowiowej brzytwy, aby tylko oddalić dzień nieuniknionej klęski. W końcu 1944 roku obsesją Hitlera stały się plany sabotażu i dywersji, w których centralnym punktem była „likwidacja" mężów stanu i dowódców wojsk sojuszniczych. O jednej z takich akcji, którą kierował słynny awanturnik, ppłk SS, Otto Skorzenny, opowiadają dwaj dziennikarze szwedzcy: St. Weston i B. Lagerstroem w piśmie „Aktuelt". Ta sensacyjna relacja jest oparta na niedawnej rozmowie ze Skorzennym.

Drogą wiodącą do Paryża mknął oliwkowożółty, amerykański samochód sztabowy. Wewnątrz, na tylnym siedzeniu, oficer bardzo wysokiej rangi przerzucał jakieś dokumenty, robiąc tu i ówdzie drobne notatki. Kiedy samochód skręcił na szosę biegnącą na zachód, w kierunku Wersalu, gdzie znajdowała się kwatera sztabu głównego wojsk sojuszniczych, z pobrzeża szosy ruszył dżip i pomknął w ślad za nim. W dżipie jechało czterech mężczyzn w amerykańskich mundurach wojskowych. Po minucie zrównał się on z limuzyną i teraz wszystko rozegrało się w błyskawicznym tempie. Czterej pasażerowie dżipa wykonali rękami parę szybkich zamachów. Kilka ciemnych, niewielkich przedmiotów z metalu w kształcie jajka przebiło szyby sztabowego wozu i za sekundę seria ogłuszających wybuchów rozdarła powietrze. Oliwkowożółty samochód, nie zmniejszając szybkości, zwalił się do rowu, osnuty chmurą smolistego dymu. Dżip gwałtownie zahamował, wykonał zwrot do tyłu i pomknął z maksymalną szybkością...

Kilka minut później na miejscu tego zdarzenia byli już oficerowie i żołnierze amerykańskiej policji wojskowej. Usiłowali zbliżyć się do płonącego wozu, ale gdzie tam — stanowił on bryłę rozpalonego do czerwoności i częściowo stopionego już żelastwa. W powietrzu unosił się zapach palącej się benzyny.

Po chwili przyjechał samochód z napisem „Press" na przedniej szybie. Wyskoczył z niego mężczyzna w średnim wieku. Widząc płonący samochód z przerażeniem złapał się za głowę.

— Do diabła! — wykrzyknął. — Przecież to samochód Eisenhowera! Oni zabili Ike'a!...

A tymczasem dżip, w którym znajdowali się zamachowcy, oddalił się już wiele kilometrów.

W jakiś czas potem, tegoż ranka, 13 grudnia 1944 roku, kierowca dżipa przyhamował na skraju lasu Ardeńskiego przed amerykańską wojskową stacją benzynową.

— Petrol, please — powiedział do zbliżającego się młodego żołnierza amerykańskiego.

Amerykanin podszedł do pompy i automatycznym ruchem położył rękę na dźwigni. Ale nagle coś go tknęło. Obrzucił pasażerów dżipa uważnym spojrzeniem i spytał:

— A wy skąd, chłopcy? Z jakiego oddziału? I dał znak stojącym opodal dwóm żołnierzom MP.

Kierowca nie odpowiedział. Błyskawicznie wrzucił pierwszy bieg i dżip jak z procy wyleciał na oblodzoną szosę. Kilkanaście minut szaleńczej jazdy i nagle zgrzyt hamulców. Ale już za późno! Unikając zderzenia z kolumną samochodową dżip robi gwałtowny skręt. Poślizg, trzy przewroty i wreszcie upadek do rowu kołami do góry. Amerykańscy żołnierze wydobywają zmasakrowane ciała i równo układają na skraju szosy. Żyje tylko kierowca. Z głębokiej rany na głowie spływa krew. Transportują go do wozu sanitarnego kolumny. Tam też zjawiają się wkrótce owi dwaj żołnierze z MP oraz młody żołnierz ze stacji benzynowej. Bardzo wzburzony mówi podniesionym głosem do komendanta kolumny samochodowej, młodego kapitana:

— Te typy są Niemcami!

— A skąd o tym wiesz?

— On poprosił: „Petrol" i powiedział „please". Nasi chłopcy mówią wprost: „Gas".

Kapitan był w rozterce. Ale jeden z żołnierzy MP przyłożył lufę swego colta, kaliber 45, do brzucha rannego i warknął:

— No, jazda, otwórz się chłoptasiu, póki jeszcze mam cierpliwość!

Ranny nie reaguje. Ciężko oddycha i obiema rękami kurczowo ściska na piersi zamek błyskawiczny swojej kurtki polowej. Policjant jednym gwałtownym ruchem rozpina zamek. Spod kurtki ukazuje się szary mundur niemieckiego Wehrmachtu...

Po upływie niecałej godziny dostarczają jeńca do kapitana Maxwella Freeda z I armii amerykańskiej. Jak to zwykle bywa na początku śledztwa, Freed bada trochę miękko. Częstuje jeńca papierosem.

— Jak się nazywasz? — pyta po angielsku.

Niemiec zaciąga się głęboko, po czym daje do zrozumienia, że nic nie rozumie. Freed wstaje zza biurka, grozi mu palcem przed nosem i wrzeszczy:

— Przestań się zgrywać! Wiem, że rozumiesz po angielsku! Jak się nazywasz? No?!

— Nazywam się Franz Kessler — mówi jeniec.

— Z jakiego oddziału?

Krótkie milczenie. Gasząc papierosa i patrząc Freedowi prosto w oczy Niemiec cedząc słowa, mówi:

— Oddział spadochroniarzy pułkownika Skorzennego. Pierwszy pluton.

Kapitan Freed podnosi natychmiast słuchawkę telefonu:

— Połączcie mnie z pułkownikiem Weyde. Jeżeli linia jest zajęta — przerwać wszystkie rozmowy! Sprawa niezwykle pilna...

Po kilku sekundach oczekiwania, usłyszawszy głos Weyde'a w słuchawce, Freed z punktu zmierza do meritum sprawy:

— Sir! Spadochroniarze Skorzennego przeniknęli do naszej strefy zakazanej. Przychwyciliśmy dywersanta! Przesłuchuję go!

Widząc zdenerwowanie Freeda, Niemiec uśmiecha się z ironią. Po skończonej rozmowie Freed pyta:

— Gdzie jest teraz Skorzenny?

— Nie mam najmniejszego pojęcia — odpowiada jeniec.

— Doskonale!

Freed gwałtownie pochyla się do przodu:

— A teraz powiem ci coś bardzo ważnego. Ważnego dla ciebie. Zatrzymano cię w amerykańskim uniformie wojskowym. Nie jesteś więc jeńcem, ale szpiegiem. Oznacza to, że już wkrótce, z wyroku sądu wojennego, zostaniesz spisany z ewidencji. Rozumiesz?!

Uśmiech znika z twarzy Niemca. Freed kontynuuje:

— Jeśli złożysz szczere zeznania, możesz jeszcze liczyć na wielkoduszność. A więc: jakie zadanie miała wykonać wasza grupa?

Teraz Niemiec jest już odpowiednio zmiękczony. Mówi:

— Przysłano nas tutaj, żebyśmy zlikwidowali Eisenhowera.

To nagłe wyznanie oszałamia kapitana Freeda. Już kilka tygodni temu służba bezpieczeństwa wojsk sojuszniczych otrzymała informacje o niemieckich przygotowaniach do „Operacji

JERZY WILMAŃSKI

REMANENT NIE-SZALEJĄCEGO REPORTERA

Kiedy reporter wraca z podróży, najcenniejszą rzeczą jest dla niego notatnik. W nim bowiem mieści się surowiec — nie obrobiony jeszcze, nie przetopiony w konstrukcję reportażu — surowiec przeżytych dni, tygodni, czy choćby tylko godzin. I nieważne jest, czy reporter wraca akurat z wyprawy do łowickiego muzeum czy z wyprawy nad Wołgę... W notatniku wiezie zamysł tego, co chce przekazać czytelnikom.

Ale nie wszystko mieści się w notatniku. Czasem — nieraz po miesiącach, nieraz po latach — z zakamarków pamięci wyłażą jakieś drobne scenki, zdarzenia, wspomnienia, słowa, strzępy rozmów... To wszystko czego reporter nie zdążył lub nie chciał zanotować, a co po jakimś czasie zaczyna układać się w kolorową mozaikę.

Na różnorodną fakturę takiej mozaiki składa się zarówno kwit z hotelu „Rossija" w Moskwie jak i powiedzenie kierownika Pow. Wydz. Kultury, który do kustosza muzeum zwracał się per „panie kustosie"...

I przychodzi moment kiedy reporter postanawia przeprowadzić prywatny remanent. Kiedy wyciąga z szuflady te wszystkie niepotrzebne już świstki i dochodzi do wniosku, że to może być nawet ciekawe, że warto o tym opowiedzieć czytelnikom.

Od czego zacząć? Może od tego jak — zupełnie nieświadomie — spowodowałem ożywione nasilenie rozmów telefonicznych między Łodzią a Iwanowem? Wyjechałem z Warszawy do Moskwy w piątek rano i... dojechałem do Iwanowa dopiero w połowie następnego tygodnia. Przez ten czas dzwoniły telefony na trasie Łódź — Iwanowo, a ja spacerowałem wściekły po Moskwie, nie mogąc zrealizować kredytowego biletu na dalszą podróż.

Otóż odpowiednia placówka załatwiająca mi bilet zapomniała o pewnym drobiazgu. Wysłano mnie w piątek, nie licząc się z faktem, że sobota jest w Związku Radzieckim dniem wolnym od pracy. Przyjechałem więc w sobotę. Urząd wydający tzw. wizy wewnętrzne na dalszą podróż po kraju, był nieczynny. W kieszeni miałem osiem i pół rubla, w redakcji „Krokodyla" wypłacono mi 12 rubli — z głodu bym nie umarł, ale hotel? Wizę mogłem otrzymać dopiero w poniedziałek, a bez wizy nie było mowy o zrealizowaniu voucheru na przejazd do Iwanowa. Pozostawały dwa dni czekania.

W Iwanowie czekali na mnie rajdzieccy koledzy, czekał zamówiony pokój w hotelu, czekały pieniądze... Między Łodzią a Iwanowem dzwoniły telefony... „Gdzie jest Wilmański?" — pytał naczelny „Roboczego Kraja". „Gdzie jest Wilmański?" — pytał naczelny „Głosu Robotniczego".

A ja, widząc bezskuteczność mojej argumentacji w „Inturiście" odszukałem adres ambasady, wsiadłem w taksówkę i rzekłem: „ulica Mickiewicza".

Taksówkarz zdziwił się i zapytał: „Gdzie to jest?". — „No, jakże — mówię — polska ambasada". „Skądże — przecież polska ambasada jest na ul. Tołstoja".

Pokazuję informator — jak byk pisze „ul. Mickiewicza" — taksówkarz kręci głową, ale jedziemy. Kluczymy po ulicach, pytamy innych kierowców — wszyscy się upierają przy Tołstoju. Rezygnuję — niech będzie Tołstoj.

Podjeżdżamy — rzeczywiście polska ambasada. Głupio mi trochę, ale jestem w końcu „w domu". Dostaję gościnny pokój — razem z innym dziennikarzem, któremu warszawski „Orbis" tak pokręcił sprawę rezerwacji miejsca w samolocie do Leningradu, że też w ambasadzie „zimuje".

Rano wychodzimy na spacer na Sadowe Kalco. Na rogu jak na urągowisko tabliczka: „ulica Mickiewicza". A więc jednak! Okazało się, że ostatnią przecznicę ulicy

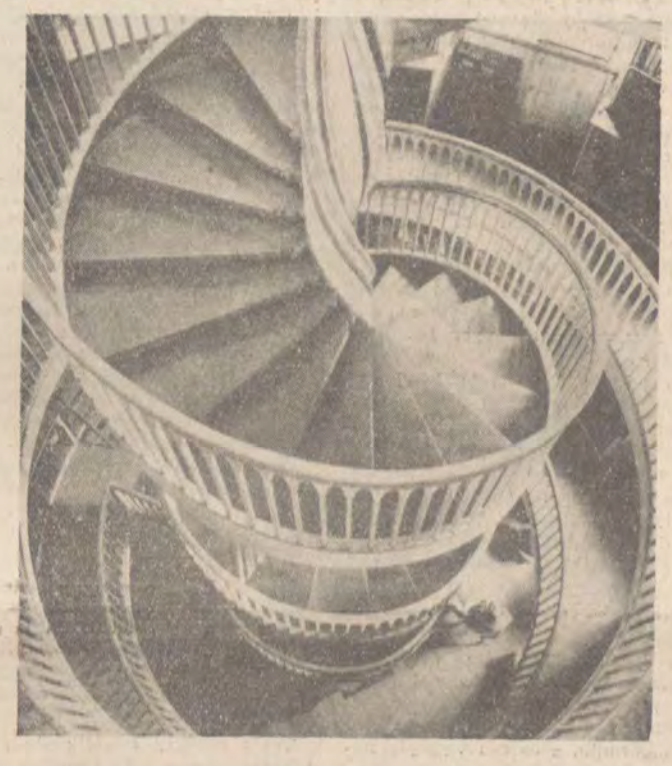

Tołstoja przemianowano na Mickiewicza. Na cześć polskiej ambasady.

Pozostało mi z tej historii jedno doświadczenie więcej, refleksja na temat zmian nazw ulic i wspomnienie pani Święckiej — zresztą rodowitej łodzianki, pracownicy wydziału prasowego ambasady. Za dwa dni miałem już wizę i na dworcu w Iwanowie witał mnie Pawka Sołonin.

Rzetelność polskich biur podróży miałem zresztą okazję poznać raz jeszcze — tym razem w Berlinie. Wysiadamy z fotoreporterem Władkiem Kraską na dworcu Ostbahnhof, w kieszeni czeki na marki do zrealizowania w biurze na ulicy Friedrich strasse. Spoglądamy na plan miasta — diabelnie daleko! Ale cóż robić. Idziemy — mijamy — rozkopany jeszcze wtedy Alexanderplatz potem plac Marksa i Engelsa, przy Uniwersytecie im. Humboldta pstrykamy sobie zdjęcie — docieramy wreszcie do biura na Friedrichstrasse.

A tu niespodzianka! „Panowie — mówią nam — przecież my już od dawna nie realizujemy czeków, „Orbis" powinien o tym wiedzieć — muszą panowie pójść na Alexanderplatz do Prezydium Policji, taki duży nowoczesny gmach...".

Wiemy, mijaliśmy go przecież dwie godziny temu...

Nie piszę tego z żółcią, choć ciężkie słowo nie raz padało. Wiem, że bardzo łatwo rzucać świa tłe rady, ale przecież w tym zgiełkliwym tłumie turystów nie zawsze biura podróży mogą zaprowadzić ład. Kiedy byłem ostatnio w Moskwie centralna placówka „Inturistu" przeżywała remont — kolejki sięgały aż na ulicę, w jednym okienku załatwiano wyjazdy do wszystkich krajów demokracji ludowych oraz przyjmowano rezerwację.

Przy tym okienku odbył się właśnie dialog, który utwierdził mnie w przekonaniu, że urzędnicy myślą tak samo pod różnymi szerokościami geograficznymi.

— Placówka „Inturistu" w Iwanowie zarezerwowała dla mnie miejsce w nocnym pociągu do Warszawy — mówię.

Urzędniczka bierze teczkę, pyta o nazwisko, szuka i wreszcie mówi — „Niestety, nie mamy takiej rezerwacji".

— „Jak to — protestuję — kierownik placówki przy mnie dzwonił do Moskwy".

— „A to mówcie tak od razu" — odpowiada urzędniczka. Bierze drugą teczkę, szuka i... znajduje.

Ścierpiem na myśl, co by było, gdybym przypadkiem nie był świadkiem rozmowy telefonicznej z Moskwą. Skąd mogłem wiedzieć, że dla telegramów i telefonogramów mają tu osobne teczki? Znów bym musiał „zimować" w ambasadzie?

Ale tak prawdę mówiąc, te wszystkie kłopoty i irytacje obrastają po jakimś czasie w patynkę sentymentu — nawet miło je wspomnieć. Tak to już jest, że nie pamięta się szczegółów zdarzeń gładkich i podróży bez przeszkód, a z uśmiechem wspomina się te niecodzienne.

Jak choćby tę podróż z Moskwy do Leningradu u schyłku któregoś lata. Wsiedliśmy do pociągu parnym wieczorem — około 27 stopni ciepła — położyliśmy się spać... aby obudzić się w Leningradzie, gdzie temperatura nie przekraczała 7 stopni. W pierwszej chwili myślałem, że pojechaliśmy w zupełnie, ale to zupełnie innym kierunku...

Przerzucam szpargały, foldery i albumy w mojej szufladzie, wpada mi w ręce fotografia praskiego Karlovego Mostu, zdjęcie prawie księżycowego krajobrazu — żydowskiego cmentarza z 596 roku z 11 tysiącami nagrobków od wielkich do zupełnie lilipucich. Pod murem nagrobek rebego Lewi, który, jak głosi legenda, zbudował i ożywił Golema. Tradycja każe położyć na nagrobku kamyczek — wtedy spełni się każde życzenie. Widzę jak znajoma kładzie ukradkiem trzy kamyki. „Pan' w to wierzy?" — pytam. „Skądże — odpowiada — ale wie pan, mam jeszcze trzy końcowe egzaminy do zdania...".

A na Karlovym Moście strojnym w trzydzieści barokowych pomników — spotkanie z rodakami. Osobliwe spotkanie. Kamienna postać Turka — poganina dzierży pod pachą pustą butelkę. Z daleka nie bieszczy się etykieta „Wódka czysta wyborowa".

Nasi za granicą. I na granicy. Do komory celnej w Kuźnicy Białostockiej polska wycieczka wkracza z hukiem butelek szampana. Za ostatnie pieniądze na dworcu w Grodnie parę osób kupiło „szampanskoje", choć tego artykułu w „Delikatesach" nie brak. Trzem paniom zerwały się siatki — szampan rymnął o posadzkę — panie płaczą, bo dewizy poszły w beton, celnicy ryczą ze śmiechu...

Mnie natomiast udało się zadziwić celnika w Międzylesiu, kiedy na mojej deklaracji odczytał: „wódka — pięć butelek". „Panie — rzekł — pierwszy raz widzę, żeby ktoś wiózł wódkę z Czechosłowacji, raczej bywa odwrotnie". Kiedy spojrzał w neseser i zobaczył pięć 50-gramowych próbek „borowiczki", „becherowki" i „stocku" — pokiwał głową i rzekł: „To nie butelki — na przyszłość niech pan to wpisuje jako pamiątki albo zabawki". Chyba miał racje, to nie są polskie miary.

Skromny ten remanent reportera, bo i reporter nie-szalejący jak Kisch czy Budrewicz. Ale chyba szkoda te parę okruchów zdarzeń wyrzucić wraz z odnalezionym na dnie szuflady niepotrzebnym już notatnikiem. W tych okruchach pobrzmiewa reporterowi zgiełk dworców i ulic — co prawda niezbyt dalekich, ale trochę innych.

POLKA z książkami

NIEUDANE „DRUCIKI"

Cztery tysiące pięćset dwudziesta trzecia publikacja Wydawnictwa MON to powieść Kazimierza Straszewskiego „Druciki". Z autorskiej wypowiedzi na obwolucie dowiadujemy się, że: „Książka prezentuje ludzi, którzy walkę z hitlerowskim najeźdźcą prowadzili pośrednio, na zapleczu frontu. Ich powszedni dzień zawierał bitwę o absolutną sprawność arterii łączności i jej odgałęzień od Sztabu Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego w dół i wszerz". Po takiej zapowiedzi czytelnik ma prawo oczekiwać akcji pełnej napięcia, dynamicznej i atrakcyjnej. Niestety. W tym miejscu muszę przestrzec mniej cierpliwych czytelników, aby po książkę Straszewskiego raczej nie sięgali. Przez pierwsze siedemdziesiąt stron poznajemy wprawdzie bliżej dziewiętnastoletniego bohatera, ale bohater jest tak naiwny i przemądrzały, że mamy go już serdecznie dość. Nawet przy maksimum dobrej woli nie może także zainteresować żołnierski dzień, na przykład — z drobiazgową dokładnością opisana niedziela, podczas której bohater najpierw długo leży w łóżku i czyta, potem wybiera się do Izy — hrabianki — pokuśnicy, na zakończenie kontaktów towarzyskich nie po dżentelmeńsku i bez uzasadnienia nazwanej — suką, wreszcie dzień kończy na obficie zakrapianej koniakiem hulance, w której uczestniczą dwie żołnierki i podporucznik Kmicik — bohater negatywny.

Zastrzeżenia budzi także styl, jakim posługuje się Straszewski. Robiony „na prostotę" jest zły i razi sztucznością, szczególnie w dialogach.

Nie udała się ta cztery tysiące pięćset dwudziesta trzecia publikacja MON, bo satysfakcję może przynieść tylko autorowi

B. M.

— - —

Kazimierz Straszewski „Druciki", Wydawnictwo MON, W-wa 1969, str. 291, cena 15 zł.

Griff". Wiedziano również i o tym, że idea tego zamierzenia wyszła od samego Hitlera. Fuehrer liczył na to, iż zamordowanie głównodowodzącego wojskami sojuszników wniesie zamęt do strategicznych planów aliantów i obniży morale armii. Było też wiadomo, iż przeprowadzenie tej akcji dywersyjnej powierzono ppłk. wojsk SS, osławionemu Otto Skorzennemu.

2.

Freed badał szpiega sześć godzin, jednak nie mógł on nic powiedzieć na temat miejsca pobytu Skorzennego. Być może, że sam nie wiedział. Nazajutrz rano Franz Kessler został rozstrzelany.

Ale w tym samym czasie setki innych niemieckich szpiegów i dywersantów, przebranych w uniformy wojsk alianckich, przekraczało linię frontu przesączało się na terytorium zajęte przez sojuszników. Zdążali ze wszystkich kierunków do jednego punktu — do kwatery sztabu głównego wojsk sojuszniczych w Wersalu, gdzie, zgodnie z zadaniem, mieli dokonać zamachu na życie generała Eisenhowera.

3.

20 października 1944 roku Hitler wezwał Skorzennego do „Wilczego Gniazda". Po wielu skomplikowanych manewrach Skorzenny znalazł się wreszcie w gabinecie wodza. Był to przestronny pokój. Ściany obwieszone mapami. Vis a vis drzwi ogromne zabytkowe biurko z dębu. Na jego prawej nodze mosiężna tabliczka, a na niej wyryty napis: „Należało do Napoleona Bonaparte, cesarza Francuzów, 1804 — 1810". Za biurkiem stał Hitler.

Wszystko to opowiadał nam niedawno Skorzenny, który mieszka obecnie w Madrycie.

Skorzenny wspomina, że Fuehrer był w stanie skrajnego wyczerpania. Uchwyciwszy się mocno biurka Napoleona Bonaparte, cesarza Francuzów, Hitler krzyczał: „Świat sądzi, że z Niemcami koniec! Że pozostało już tylko wyznaczyć godzinę i miejsce pogrzebu. Ale przerwyciężymy ten zły czas i z całą siłą uderzymy na Zachód. Wtedy zobaczymy, kogo trzeba pogrzebać najpierw!".

Po kilku takich wybuchach Hitler przymrużył oczy i wpatrzył się nieruchomo w Skorzennego: „Musimy przeprowadzić akcję, która odwróci uwagę naszych wrogów od przygotowywanego przez nas uderzenia w Ardenach. To uderzenie uda nam się, jeżeli przed tem dokonamy zamachu na życie głównodowodzącego wojskami sojuszników"...

Teraz zrozumiał Skorzenny dlaczego wezwano go tutaj tak nagle.

4.

Po powrocie do Berlina Skorzenny przystępuje natychmiast do wykonania rozkazów Fuehrera. Do siedziby sztabu Skorzennego w miejscowości Friedentall, niedaleko Berlina, zaczynają przybywać pierwsi kandydaci na dywersantów. Tutaj, wśród gęstych lasów, „człowiek ze szramą na twarzy" ostro zabiera się do dzieła. Obok szkolenia bojowego i nieustannego doskonalenia języka angielskiego, ze szczególnym uwzględnieniem amerykańskiego slangu uczy ich także amerykańskiego i angielskiego stylu życia. Te ostatnia umiejętność musza opanować perfect. Uczą ich żucia gumy i trzymania rąk w kieszeniach, nawet w obecności oficerów wysokiej rangi. Najtrudniejsza jest nauka zwijania papierosów jedną ręką. Jak opowiada Skorzenny, spośród trzech tysięcy ochotników, zaledwie trzech zdobyło tę niezwykle trudną umiejętność.

Końcowy szlif otrzymują dywersanci w obozie pod Norymbergą, gdzie Skorzenny dzieli ich na grupy i przydziela różne zadania. Ci, którzy najpłynnie mówią po angielsku — zostają dowódcami grup. Grupa uderzeniowa brygady dywersyjno-sabotażowej składa się z pięciu samodzielnych oddziałów szturmowych. Jej główne zadanie bojowe polega na zaatakowaniu kwatery sztabu głównego wojsk alianckich w Wersalu. W kulminacyjnym punkcie tej operacji Skorzenny, jako rzekomy „niemiecki oficer — jeniec" ma być dostarczony „na przesłuchanie" do kwatery sztabu głównego wojsk alianckich w Wersalu. Mają go tam „eskortować" jego właśni ludzie, przebrani w mundury amerykańskiej Military Police. Po przekroczeniu w tak zuchwały sposób wrót Wersalu grupa ta, pod dowództwem Skorzennego, ma się przedostać do rezydencji głównodowodzącego i tam go zamordować. Dokładne położenie rezydencji jest zaznaczone na specjalnych mapach, które mają przy sobie wszyscy dywersanci. Niewykluczone, iż Skorzenny zamierzał osobiście „zlikwidować" głowę wojsk sojuszniczych.

W drugim tygodniu grudnia 1944 roku dywersantów przerzucono na front ardeński. Tutaj, działając małymi grupkami przenikają przez linie walk i mieszają się z oddziałami amerykańskiej I armii. Niszczą linię łączności, usuwają tablice orientacyjne w rejonach zaminowanych, „wymieniają" żołnierzy alianckich, regulujących ruchem kołowym, przez co całe kolumny wojsk mylą kierunki. Umówioną sygnalizacją świetlną naprowadzają ogień artylerii niemieckiej, wskutek czego sojusznicy ponoszą ciężkie straty w ludziach i sprzęcie.

5.

Kontrwywiad wojsk alianckich pracował w ogromnym napięciu. Wkrótce udało mu się rozszyfrować plan „Operacji Griff". Ale przecież każdy żołnierz aliancki nie mógł wiedzieć, że Skorzenny przygotowuje zamach na głównodowodzącego wojsk sojuszniczych. Wojskowa policja polowa otrzymała rozkaz zatrzymywania wszystkich podejrzanych osób, niezależnie od stopnia wojskowego. Opracowano szereg pytań kontrolnych, na które mógł odpowiedzieć wyłącznie „prawdziwy Amerykanin". Więc: „Kto to są piraci rzeczni?" (komiks), „Co to jest czarny bombardier?" (bokser Joe Louis), „Kto to jest Głos?" (śpiewak Frank Sinatra), „Kto jest mężem Betty Grabel?" (Herry James).

Jeśli badany prawidłowo odpowiedział na te i inne pytania, kazano mu powiedzieć słowo: „wreath". W tym „teście" chodziło z kolei o to, iż połączenia liter „w", „r" i „th" nie potrafi wymówić Niemiec, nawet bardzo uzdolniony językowo.

W rezultacie zamknięto w aresztach setki Anglików, nie znających amerykańskich subtelności językowych. Jednak w ten sposób wyłowiono również cześć niemieckich dywersantów.

Eisenhower opuścił pałac Saint Germain i przeniósł się do pałacyku Trianon w Wersalu, przemienionego w „małe umocnienie".

Tymczasem ze wszystkich stron napływają niepokojące doniesienia o pojawieniu się Otto Skorzennego — „człowieka z blizną na twarzy".

Kontrwywiad aliancki nie wtajemniczając Eisenhowera, przygotowuje pułapkę na Skorzennego. Oto mieszkaniec Chicago, podpułkownik Baldwin Smith jest uderzająco podobny do głównodowodzącego. On to właśnie wyjeżdża codziennie z pałacu w Saint Germain dobrze wszystkim znaną „pięciogwiazdzistą" limuzyną Eisenhowera. Smith spokojnie siedzi na tylnym siedzeniu auta, uśmiecha się do każdego kto go pozdrawia i w każdej chwili, z zimną krwią, oczekuje na wybuch granatu lub na serię z broni automatycznej...

27 grudnia 1944 roku Skorzenny jest całkowicie przygotowany do wypadu na Wersal. Dwunastu niemieckich dywersantów w amerykańskich mundurach oczekuje sygnału, aby „konwojować" go do sztabu wojsk alianckich. Jednakże w ostatniej chwili otrzymuje informację, iż Eisenhower udał się do Reims. Skorzenny natychmiast zmienia plan i postanawia dokonać napadu nie na kwaterę wojsk sojuszniczych w Wersalu, lecz na samochód głównodowodzącego, dopadając go w drodze. Jako miejsce zasadzki wybiera zakręt na szosie, wiodącej do Wersalu. W tym wariancie planu zamachu miała dokonać inna grupa dywersantów.

Dalsze wydarzenia zna już czytelnik z początku tej relacji. Podpułkownik Smith oraz wszyscy, którzy byli z nim w tym czasie w samochodzie — zginęli...

(W. St.)

ZYGMUNT FIJAS

WENUS I GLINY

(Rozdzialiki z opowiadania „Świeca czyli o tłumie")

1.

Godzina nie była późna. Jeszcze na zachodzie mieniły się światła zorzy wieczornej, trochę zbyt skłócone ze sobą i za jaskrawe jak na tę serię pięknych pogód październikowych. Ale już sklepy zamykano.

Chociaż do tak zwanego „mroku cywilnego", kiedy coś jeszcze możesz czytać przy blasku nieba, było daleko, zaś do „astronomicznych ciemności", kiedy nic nie możesz czytać pod gołym niebem, bo zaczęły świecić gwiazdy, było jeszcze dalej, to już zaczynał władać bezruch.

Nie zakłócali tego bezruchu ani robotnicy wracający z naręczami drewna na barkach, ani wasąg przejeżdżający z turkotem przez Glinianą, na tym wozie furman z biczyskiem wetkniętym między kolana (jak policjant z karabinem wetkniętym między cholewy: trochę sponiewierany odstawianiem aresztantów do powiatowego więzienia, trochę zakatarzony trochę podchmielony po miejskich poczęstunkach, a może też rozchandryczony użeraniem się o stawki za różne drobne przekupstwa) — zatrzaskiwanie sklepów i krakanie wron odlatujących na spoczynek leśny w górach, też tego bezruchu nie zmieniało w nic ważnego. Stagnacja, jeśli jest bezruchem stawu pokrytego rzęsą, jest nim także w kręgu fal zieleni i szepcie rozkołysanego sitowia.

I oto na róg chodnika, za którym stała chatka felczera Majlicha Munycha, wszedł urzędnik skarbowy, Filanc.

Urzędnik ten był starannie wygolony i ubrany jakby się wybierał na jakieś znaczniejsze przyjęcie albo tańce.

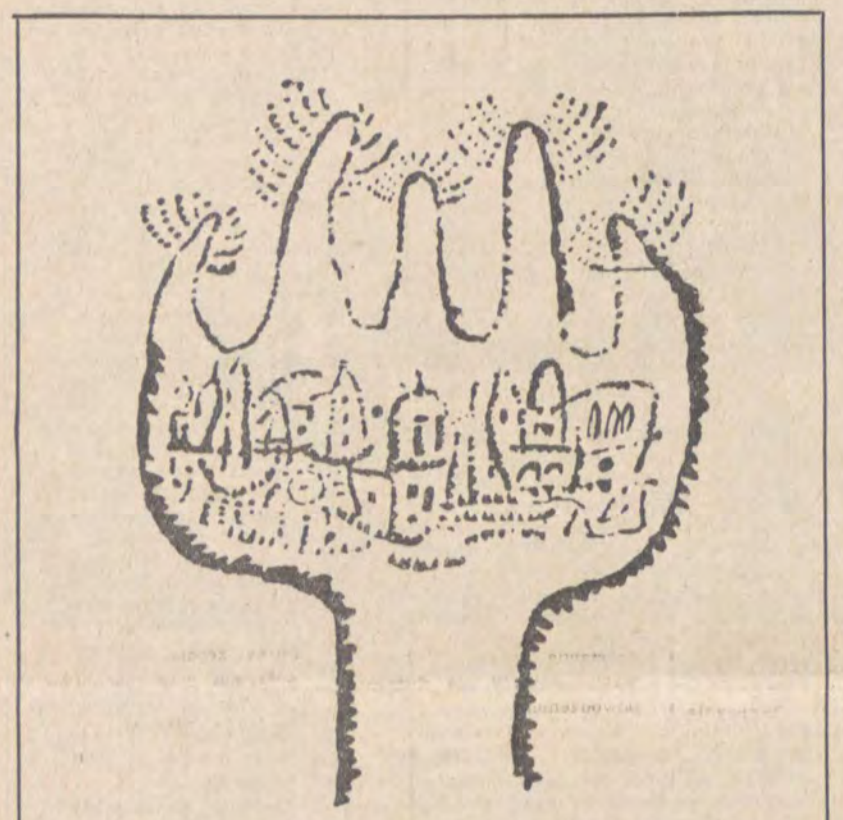

Andrzej Grun „Miasto w górach"

STANISŁAW KASZYŃSKI

Cmentarz żołnierski pod Konstantynowem

WACKOWI PRYTOWI

ILE TALENTÓW PADA W KAŻDEJ TYRALIERZE.

E. BRYLL

A teraz w ciszy z krwi wyżętej
kwadrat omszały nad każdym
o tej porze zetlałym lasem wzdęty
szachownica kości
Odkryci na płatach drżącego powietrza
biegli czy szli stromizną
pod świstem
zamilkli
zadyszani oślepli
na aeternitas aeternitatum ostali
I doszli
do polskich metryk
spisanych w kancelariach ziemi zabranej
złomkowie Bartka — Zwycięzcy
już poza wszelką chełpliwością
ręce w płomieniu
ręce do chleba ręce do miłości
mowa twarda
ostatnia godzina prostych zdań
prośba powszechna w czas głodu ognia i wojny
Za befelem
Za sprawę nienawistną
Za ciepłymi domami
w doły ojczyste
w
r
z
u
c
e
n
i

Łódź XI — Wiedeń XII 1968

Ale dokąd on mógł wtedy pójść? Do nikąd?

Wszak nic w tym mieście nie było stosownego dla człowieka z lepszej gliny. Resursa sąsiadująca z łaźnią (w niej można było wykąpać się, a także zawrzeć znajomość z dziewczyną wiejską przybyłą z odległych okolic w charakterze panny łaziennej do wszystkiego; dwa złote kosztowała wraz z kąpielą i masażem ta łazienna uciecha). Sala restauracyjna hoteliku Royal, w której co sobotę bębnił zapijaczony pianista (jeśli brał tryle brillante po lewej stronie klawiatury, to trzymał kufel w prawej ręce, jeśli grał w wiolinach, to wypijał swe piwo z monopolówką z orłem na czerwonej etykiecie, czyli, chyba to po żmudzku, po litewsku lub białorusku, „jorsz" — leworęcz)?

Filanc dwa tygodnie temu został przeniesiony służbowo do tego miasta. Odział się, jak zwykł był odziewać się w poprzednim miejscu swego zamieszkania po południu w angielską sobotę.

Na jego twarzy (według informacji laborantki Domu Rencisty, pani Munychowej), majaczył uśmiech człowieka jakby głupawego lub ograbionego w biały dzień z pompki od roweru, portmonetki z ostatnimi kilku złotymi oraz kluczykiem od meblowego zegara i na dobitek obrzuconego kulkami łopuchu.

Gdyby podejść wówczas do skarbowca i zajrzeć mu z bliska w oczy, to by można odczytać w nich osad depresji, jaka opada człowieka gór, gdy on spomiędzy skośnych lub pionowych linii swej górskiej, wesołej ojczyzny zostanie nagle przesiedlony przed niekończący się wał północnych lasów, tafle mrocznych fińskich jezior lub horyzontalnie rozprzestrzeniające się płaszczyzny stepów. I uderzony lekko policyjną pałką gumową w ciemię.

A skarbowca przenieśli przecież z jednych gór w drugie. Z tym, że te drugie były pagórkowate, nie było wśród nich żadnych godnych wzmianki szczytów, ani jeden nie miał nawet tej wysokości, co Łysica w górach Świętokrzyskich, którą kielczanie pokazują turystom jako swój Mount Everest, czy amerykański Mount Palomar z teleskopem dużym jak koło młyńskie.

I oto po drugiej stronie Glinianej, na rogu, za którym stał dom Agatona Pustułki, za tym domem ogród, w nim późne chińskie goździki, chińskie astry, cynie, jeszcze lobelia, nie tak jak u Munycha po drugiej stronie, gdzie tylko wystrzelała bylica, wszelkie byliny zadławił łopuch, ale nie dał rady słonecznikom, stronił od róż, oszczędził malwy — na tym rogu zatrzymali się dwaj inni panowie.

Chociaż ubrani po cywilnemu, to ich garnitury wcięte w pasie i dobrze skrojone, jako też ich ruchy i pełna dziarskości postawa, wskazywały, że muszą być oficerami. Jeden tęższy, w jasnym ubraniu, z daleka wyglądał nawet na kapitana.

Gdy w głębi ulicy pod sklepową markizą, zamajaczyło coś białego, spojrzenia obu mężczyzn skrzyżowały się. Gdy to białe wychynęło spod bocznych osłon markizy, okazało się, że jest nim damski kapelusz.

Kapelusz starzejącej się panny, Kliwii, obumierającej piękności, zapewne z powodu dogorywania wdzięków posługującej się lornion.

Kliwia przyłożywszy do oczu swój przyrząd optyczny i nawet nieco przymrużywszy oczy, żeby lepiej widzieć, dojrzała skarbowca. Słyszała, że ktoś nowy przybył do miasta, ale jeszcze nie miała okazji zobaczyć go. Zaczęła więc drobić ku niemu prędkim kroczkiem jak mała suczka ratlerka.

Skarbowiec przyłożył dłoń do czoła, bo zdawało mu się, że gdzieś tę Wenus poznał: podróżowali wspólnie autobusem, jedli ciastka lub lody, ona rozbudziła w nim trudne do określenia uczucia, które, niestety, nie mogły się w nic rozrosnąć, bo trzeba było przesiadać się.

Jak dwie hiperbole, których tory już zdaje się: jeden dla drugiego będzie styczną, kto wie, czy nie sieczną, rozeszły się ich osoby w nieskończoność.

Brwi skarbowca ściągnęły się, gdy Kliwia była całkiem blisko: Żadna taka scena pomiędzy nim a tą kobietą nie mogła nigdy zdarzyć się. Wykluczał to obecny wygląd tej damy. Tylko degradacja psychiczna, bezustanna frustracja mogła uzasadniać, nie godzące się z więdnącymi rysami tej osoby, białe pensjonarskie kokardki, zdobiące jej suknię prowincjonalnego kroju, pantofelki, letni kapelusz, mimo, że już jesień, nawet torebkę. Ale to nie musiał być skutek degradacji. Wygląd mógł być wyświetleniem dawnej taśmy filmowej, tu, w tym mieście, już dawno utrwalonej.

Kliwia, zajrzawszy z bliska w zatrzaśniętą twarz mężczyzny, pomyślała: Ależ ma twarz wypudrowaną jak młynarz i oczy spłowiałe. A wąsy stoperczą mu jak strażakowi.

Zaczem wystąpiła na jezdnię, aby przejść na drugą stronę ulicy do rogu, niby to ku wystawie sklepu galanteryjno-bławatnego i mieszanego Pustułki, a w rzeczywistości: i ku wystawie i ku dwu mężczyznom, oficerom.

„Zapewne pułkownik udzielił im urlopu — pomyślała nie przykładając lornion. Gdzieś bawią w pobliżu na manewrach. Skorzystali z wolnej chwili, aby wpaść do miasta... Zakręcą się za damskim towarzystwem, nakupią słodyczy, południowych owoców. Poflirtują, podokazują, może z gimnazjalistkami — tu twarz panny wydłużyła się. — A potem znikną jakby ich wiatr porwał, ulecieli z jesiennymi obłokami... lub też wcale tu nigdy nie byli.

— Ileż to ludzi przewinęło się przed naszymi oczami, a nawet wymknęło się nam z rąk — żali się dzisiejsza rencistka, pani Kliwia, pensjonariuszka Domu Rencistów na przedmieściu. Pani Kliwia, wciąż jeszcze piękna wspomnieniami jak biedna „Płatnerka" Villona. Płatnerka: wyrzeźbione przez Augusta Rodin zgliszcze po dokonanych miłosnych wzlotach i pożarach. Pani Kliwia — pogorzelisko po niedopalonych głowniach.

— Ileż to ludzi przewinęło się przez nasze miasto? — żali się pani Kliwia, reedukowana przez czasy była pracownica biura projektów, gdy wdepnąć do tego damsko-męskiego domu, otoczonego aleją strzyżonych grabów. Ciągle ktoś się pojawiał, tylko po to, aby nie wrócić. Zrazu pisywał długie listy, sprawiał się w nich, że chciałby przyjechać, lecz czas mu nie pozwala. A wtedy dobrze się stało, że nie przyłożyłam do oczu lornion. Ci dwaj mężczyźni byli zwyczajnymi aspirantami policji, glinami. Jednego z nich gawiedź nazwała „sułanem", drugiego „kopulem". Przyjechali po długiej niebytności, żeby znowu objąć swą służbę. Jeszcze nie włożyli mundurów. Gdybym to o nich wtedy wiedziała, co dziś wiem po latach, jak postępowali z politycznymi wbrew regulaminowi więziennemu, tobym im zamiast uśmiechu pokazała grymas budzącej grozę bogini Gorgony. Ale wtedy nie byłam taka mądra. Czasem nawet mi się podobali. Dobrze byli płatni, pięknie mieszkali. Pomyśli pan o mnie: głupia baba. Był czas, że oni nam się podobali. Niejedna z nas była tak samotna. A za mundurkiem baby w tych czasach sznurkiem.

Majlich i Gloria Munychowie

2.

W tym samym czasie felczer Majlich Munych z głową obwiązaną ręcznikiem, skarżył się swej żonie, Glorii:

— Kotuś, tak dłużej nie może być. Nie mieć ani trzech zastrzyków w ciągu dnia, to wolno oszaleć. Bernardyni stawiają ludziom bańki za bezcen, to samo fryzjer. Umiem wyjmować zęby bezboleśnie, o czym wszyscy dentyści wiedzą, bo mam złotą rączkę. A ludzie wolą przyłożyć do dziąseł proszek z tłuczonych goździków, męczyć się u dentysty, który powinien być kowalem, a nie brać się do ekstrakcji. Oni wszyscy mają naganiaczy: i kauzyperdzi, i konowały, i trumniarze. A ja? Ja jestem człowiek z innej gliny: brzydzę się geszefciarstwem. To, czym my żyjemy, to nie życie, lecz humbug! To bluff i kłamstwo... Jak mogę bluffować, skoro życie to nie poker. Jak mam mówić „blind" w ferblu, skoro nic nie mam w ręce? Jakżeż to?... Na domiar złego głowa mi pęka.

Gdy Munych zerknął przez okno w stronę zachodniego nieba, zaskoczyły go jego barwy. Nigdy one nie były tak złowrogie.

Wszelkie chmury, a zwłaszcza późnojesienne i zimowe, kiedy przez pięć, osiem dni przesuwały się obłoczyska, brudne jak stara zużyta wata, i jedne od drugich bardziej posępne, działały na felczera przytłaczająco. Nieraz wyrażał żal, że pogody nie można zapisywać na receptę.

Teraz chmury mieniły się niesamowitymi odcieniami, pełnymi dziwacznych kontrastów. Ze szczelin pomiędzy chmurami wytryskiwały świetliste smugi, to jasnożółte, rażące oczy — snopy promieni, jak na fotografiach wybuchy słonecznych protuberancyj.

Wtedy to, w czasie trwania tych wybuchów jarzą się w strefach podbiegunowych powietrzne rury Geisslera, tunele rozpędzonych elektrycznych cząstek w magnetycznych przepaściach; przemieniają się one, to w rozfalowane wstęgi, to zwoje przejrzystych draperii; zorza polarna obejmuje we władania tundry Syberii, Kanady, północ Szwecji, Finlandii, Norwegii, antypody tych krain: Antarktydę, morza wokół niej. Między wojnami ta zorza sięgała do Polski centralnej, a podobno i w górach ją widziano.

Felczer Munych patrząc na te niesamowite barwy obłoków i światła i na swój zieleniec zasłany ogromnymi liśćmi łopuchu i zarośnięty badylicą, to przenosząc spojrzenie na twarz swej Glorii, bladą jakby z niej wyciekła wszelka krew, a potem na swe zabrudzone, postrzępione mankiety i na zasobny sklep Pustułki, wybuchnął, do dziś nie wiadomo dlaczego, okropnym, niesamowitym śmiechem: rechotem australijskiego ptaka, „głupiego Jasia", zimorodka olbrzyma.

— On nigdy, ale to nigdy — mówiła laborantka Munychowa — nie wiedział, ani nie słyszał o czymś takim, jak ten ptak. Więc dlaczego lekarze mówili, że on się śmiał ptasim śmiechem i to akurat australijskiego ptaka? Mnie się wydaje, że lekarzę musieli to sobie wymyślić. Oni ciągle coś wymyślają. Niedawno, proszę pana, pomidory były rakotwórcze. A potem okazało się, że mediolańscy lekarze popełnili błąd, bo wstrzykiwali myszom wyciąg z pomidorów. Wywoływali u zwierząt doświadczalnych zwykłe wrzody, nie raka... Później substancją rakotwórczą miała być polewa tabletki wielowitaminowej. Później tytoń i benzynowe spaliny, benzynopyreny. Oni muszą ciągle coś wymyślać jak poeci. I dla prasy, i dla popularności, i dla swej próżności. Mnie się wydaje, że mój Majlich śmiał się zwyczajnym śmiechem wariata. Bo on nie mógł wytrzymać. Jego natura musiała sobie wymyślić coś zastępczego na jej miejsce: jakąś niedorzeczność. I to był właśnie ten zagadkowy śmiech, nie śmiech australijskiego głupoptaka, głupolota, czy głupośmiecha... Przecież mój mąż nie pracował u żadnego ornitologa, bo do czego ornitologowi potrzebny jest felczer? Do puszczania krwi? Mój mąż nie miał nigdy kolegów hodujących egzotyczne ptaki. I nie był też histerykiem... Mówią, że taka reprodukcja słuchowa może się trafić u histeryczki. A może nawet to nie reprodukcja, lecz potrzeba zwrócenia na siebie uwagi. Histeryczka lubi robić z siebie teatr lub słuchowisko. Ona musi mieć widzów i słuchaczy. Jest zadowolona, gdy ci widze i słuchacze są. A gniewa ją gdy ich nie ma. Lub nie zwracają na nią uwagi... Może też coś takiego wystąpić u medium: że ono zaczyna mówić w transie biegle po arabsku lub sanskrytem. Ale przedtem to medium musiało sprzątać u znawcy języków wschodnich, przepisywać mu coś na maszynie, lub też, jeśli to medium jest kobietą, to pan, wie, po co taka osoba mogła chodzić do orientalisty... Chociaż, czy ja wiem?... Dlaczego znawca języków wschodnich musi w tych sytuacjach mówić akurat po sanskrycku albo po egipsku?... Im bliżej było mojemu mężowi do śmierci, tym więcej mu było do śmiechu... A potem, to on się już zaczął całkiem zaśmiewać z tej całej głupoty. Bo on teraz mógłby na przykład być kierownikiem jakiego wydziału zdrowia albo balneologii. Co? Kręci pan głową?... Źle się powodzi niektórym, co od nich zależy wyjazd do sanatorium lub do wód?... Zresztą, czy ja wiem: Mnie jedna pani, ale zaraz po wojnie, mówiła, że każdy człowiek ma przy sobie swój osobny kuferek... I wszędzie go z sobą wozi lub nosi. Mogła ona, ta osoba, ale to była córka jednego wielkiego polskiego aktora, wyjechać do Monte Carlo lub Montevideo, a ten kuferek był ciągle przy niej. A czasem mówiła, że był w niej. I to najgorsze. Ona mówiła, że trzeba umieć wyrzucić ten kuferek przez okno lub do niego przyzwyczaić się. Do tylu rzeczy człowiek przywyka. Ho, ho, ho... W naszej bibliotece jest książka Seneki: „Listy". W niej mowa o Greku, który wiadomość o śmierci swego syna przyjął z całkowitą obojętnością. Myślę, że wyćwiczoną. Jak jog, któremu przebiją rękę szpilką. Żaden muskuł na jego twarzy nie drgnął. Ale czy to nie samolubstwo być takim jogiem?... Ja, proszę pana, bardzo lubię ludziom pomóc. Przed wojną mogłabym też być w jakiejś ochronce jako pielęgniarka. Ale czy ja wiem, czy bym mogła? Co innego to, co było, a co innego, to, co jest później. Człowiek musi się do wszystkiego przyzwyczaić. A tu jest spokój. Mam jedzenie, zajęcie. O nic nie muszę się kłopotać. Ale tu jeden starzec to się chciał powiesić na ramie okiennej. Taki głupiec. A może starczy psychotyk. Jemu za duży kuferek urósł. Na plecach też go miał... Co tu dużo opłatać? Pan wie... Ale są ludzie, co jak chcą, to pieniądze dziś mają. Ja nie wiem skąd. Mają głowę do tego. A mój mąż jej nie miał. On miał za słaby rozum. I dwie lewe ręce. Jeśli pan będzie przechodził to niech pan położy kwiatek na jego grobie. Trzeci rząd od bramy na prawo. Tam kos uwił sobie gniazdko. On tam jest przez całą zimę. W naszym ogródku też był kos. Muszę już iść.

Munychowa wytrajkotawszy ten monolog, odeszła, zabierając ze sobą zapach lyzolu, który do dziś nie chce opuścić naszego nosa.

ANDRZEJ GRUN

Rzeźba–jaka jest?

Nie podlega dyskusji, iż w chwili obecnej warszawskie środowisko rzeźbiarskie jest nie tylko najliczniejsze w kraju, ale i najciekawsze, najbardziej zróżnicowane i najbardziej ekspansywne. Złożyło się na to wiele przyczyn, u początków których leży działalność warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, w której to Akademii tak obficie zaowocowały wysiłki pedagogów rekrutujących się w pierwszych latach powojennych z grona twórców działających jeszcze w okresie dwudziestolecia międzywojennego z prof. Tadeuszem Breyerem na czele. Potrafili oni w ramach uczelni stworzyć atmosferę twórczego wysiłku i rzetelnej wiedzy, przyciągając jednostki wybitnie uzdolnione, z których potem wykrystalizowała się grupa twórców przełamujących przekonanie, iż w Polsce rzeźby prawdziwej nie ma i być nie może i rzucających śmiało swe dzieła na szale nie tylko europejskiej ale i światowej konkurencji.

Do rozwoju warszawskiej rzeźby i środowiska przyczyniła się w niebagatelnym stopniu odbudowa i rozbudowa stolicy. Na placach i ulicach miasta znalazło swoje stałe miejsce wiele realizacji pomnikowych upamiętniających dni grozy i bohaterstwa ludzi i zdarzenia.

Są to realizacje monumentalne i w pewnym sensie reprezentatywne zarówno ze względu na fakty historyczne, które rozegrały się w tym miejscu przed ćwierćwieczem jak i na charakter miasta jako stolicy. Odnosi się to zwłaszcza do rozwiązań projektowanych w ciągu lat ostatnich wspólnie z urbanistami lub proponowanych przez samych rzeźbiarzy w ramach akcji „plastycy swojemu miastu". Zainteresowanie rzeźbą w Warszawie przejawia się również w ilości ekspozycji i w ich rozmiarach, jak i w utworzeniu tu właśnie jedynej w Polsce stałej Galerii Rzeźby oraz Muzeum Rzeźby w byłej pracowni Xawerego Dunikowskiego.

Z tych też względów wystawa „25 lat Rzeźby Warszawskiej" w Zachęcie jest zarówno przeglądem umożliwiającym uzmysłowienie sobie roli i miejsca tej dyscypliny sztuki w całokształcie naszej powojennej kultury, jak też wydarzeniem natury artystycznej. Wystawa w całej pełni potwierdza prymat ośrodka warszawskiego. Wykazuje równocześnie, że nie można mówić o jakiejś określonej „szkole warszawskiej" — tematycznej czy formalnej. Nie można mówić też o jakimś specjalnym nasileniu kierunków awangardowych, eksperymentujących. Zjawiska zachodzące w twórczości rzeźbiarzy warszawskich są na ogół zgodne z tymi tendencjami i kierunkami, jakie rządziły na przestrzeni 25-lecia plastyką polską. Całość tej obszernej ekspozycji rozpatrywać można pod wieloma kątami. Jako przykład różnych stosunków do takiej czy innej tradycji. Jako zapis sejsmiczny obowiązujących tendencji ideowych i formalnych. Jako dialog rzeźby przedstawiającej z niefiguratywną. Jako dialog różnych pokoleń, wreszcie — jako zestaw szeregu samodzielnych indywidualności twórczych warunkujących oblicze i charakter rzeźby polskiej. Cokolwiek by się powiedziało o orientacjach, które na wystawie znalazły swój wyraz, rzuca się w oczy jeden, nie ulegający żadnej dyskusji naczelny i dla rzeźby polskiej, jak mi się wydaje, dość charakterystyczny fakt: niezwykle częste odwoływanie się twórców do sylwetki ludzkiej jako do pierwszego i powszechnie zrozumiałego znaku, symbolu, wyznacznika i punktu odniesienia. Ładunek humanizmu zawarty w pracach rzeźbiarskich jest ogromny — przypuszczam, że o wiele większy, niż w analogicznych wystawach innych dyscyplin naszej sztuki.

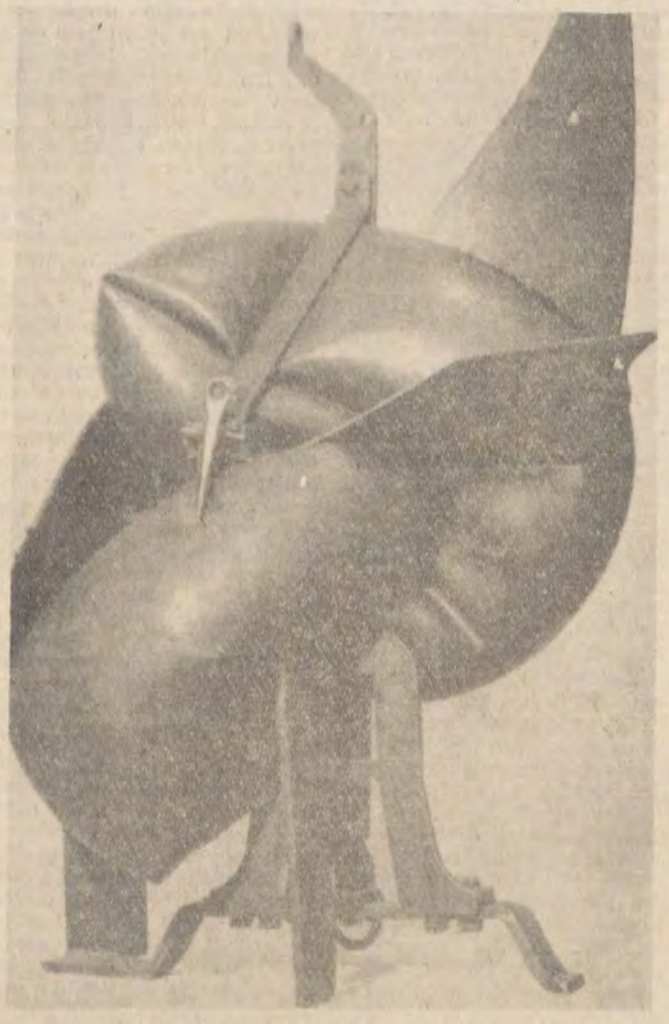

XXX Henryk Morel *guma — żelazo*

Na podstawie warszawskiej ekspozycji można wysnuć słuszny chyba wniosek, że oblicze polskiej rzeźby kształtuje pięć podstawowych orientacji. Rzetelne studium natury połączone z tradycyjnie pojmowaną bryłą rzeźbiarską i doskonałą techniką, wyrażające się przede wszystkim w portrecie prezentują artyści starszego i najstarszego pokolenia. Ich krańcowym odpowiednikiem są twórcy, hołdujący koncepcjom konstruktywistycznym, szukający dla swych kompozycji zarówno nowych tworzyw, jak i nowych stanowisk w pejzażu miejskim, związani ściśle z nowoczesną architekturą i nowoczesnym wnętrzem, afirmujący całym sercem i umysłem dynamizm cywilizacji technicznej, dokonujący śmiałych, nieraz karkołomnych integracji innych dyscyplin sztuki z rzeźbą, (bracia Jarnuszkiewiczowie. M. Więcek). Najliczniej i najróżnorodniej prezentują się „polscy symboliści", albo jak ich określa w katalogu wystawy W. Wierzchowska — „metaforyści" (od wystawy „Metafory" w 1962 roku). Ci, w oparciu o doświadczenia Arpa i Moore'a, o cały arsenał znaków i symboli, o współczesną umiejętność swobodnego kojarzenia budują swe rzeźby, w których emanuje w zależności od „tematu" — ekspresja, nastrój poezji lub grozy, zadumy lub wzniosłości. Z ich to właśnie grona wywodzą się przeważnie autorzy realizacji monumentalnych i okolicznościowych. Pokolenie najmłodsze, siłą rzeczy wyczulone na wszelkie aktualności i mody, pozwala sobie na eksperyment, zresztą umiarkowany. Wykorzystując doświadczenia konstruktywistów czy może raczej „konstruktorów" i „metaforystów" łakomie spogląda ku kinetyzmowi, próbuje zastosować tu i ówdzie podstawowe chwyty pop'artu i nowej figuracji, łączy to wszystko z ekspresyjnymi, często brutalnymi formami organicznymi. (H. Morel). Wreszcie wspomnieć należy o tych wszystkich rzeźbiarzach, którzy po źródła inspiracji sięgają do skarbca ludowej tradycji. Prymitywizowanie formy, celowa naiwność rekwizytów, specyficzna poetyka, ornamentyka i zdobienia, częsty, zwłaszcza w rzeźbach ceramicznych, kolor, wreszcie kameralność i niewielkie rozmiary — to zasadnicze wyznaczniki ich twórczości. Jest tych rzeźb stosunkowo sporo. Spotkane wśród innych — wzruszają swoją prostotą i bezpretensjonalną naiwnością. Nie wszyscy artyści opierający się o sztukę ludową tworzą w ten sposób. Ci, którzy z ludowej rzeźby wzięli intuicyjne wyczucie formy stwarzają rzeczy mocne w swym wyrazie, czyste, niejednokrotnie bardzo drapieżne. Wiele rzeźb eksponowanych w Zachęcie to projekty pomników, projekty elementów przestrzennych i przestrzenno - kinetycznych, zrobionych z myślą o pejzażu miejskim. Słusznie zauważyła w katalogu wystawy Wiesława Wierzchowska, że w pomniejszonej skali nabierają one często bardzo liryczne charakteru, intymności nie przeczuwanej.

Osobnym elementem wystawy bogato rzeczywiście zaprezentowanym jest medalierstwo. Wiktoria Czechowska - Antoniewska, W. Czerwon, M. Furowicz - Jankowska, Edward Gorol, W. Kowalik, J. Markiewicz — wymieniam zaledwie kilku — mogą poszczycić się osiągnięciami wybitnymi w tej trudnej a jakże pięknej i szlachetnej sztuce. Nawiązują do świetnych i bogatych tradycji naszego medalierstwa, wprowadzając jednocześnie w tę dziedzinę wszystkie aktualne tendencje nurtujące plastykę dnia dzisiejszego.

POLONICA

AUDYCJE O POLSCE

Przejrzeliśmy spis audycji, poświęconych sprawom polskim, jakie stacje radiowe i telewizyjne NRF nadały w listopadzie i grudniu ubiegłego roku. Wynotowaliśmy kilka z nich: muzyka organowa w Polsce (gra Feliks Raczkowski), „Portrety" — polskie filmy animowane, reportaż filmowy pn. „Przeżycie wakacyjne w Polsce", koncert Filharmonii Warszawskiej pod dyr. Stanisława Wisłockiego, międzynarodowi soliści: Wanda Wiłkomirska gra utwory Henryka Wieniawskiego, „Król Roger" opera Karola Szymanowskiego. Ponadto raz w tygodniu „Deutschlandsrundfunk" nadaje lekcje języka polskiego. W sumie było tych audycji sporo (nie wyliczyliśmy wszystkich), nadawanych z różnych rozgłośni, a więc z Hamburga, Kolonii, Frankfurtu, Monachium i Stuttgartu. Niektóre z nich, jak zdołaliśmy stwierdzić na podstawie omówień prasowych, cieszyły się dużym powodzeniem. M. in. podobał się wyświetlany w telewizji NRF film Berestowskiego i Hena pod tytułem niemieckim „Wenn Ira kommt".

jk.

NA BIAŁORUSI O FEDEROWSKIM

W styczniowym numerze miesięcznika POŁYMIA, który jest organem Związku Pisarzy Białoruskich, wychodzącym w Mińsku od 1922 r., ukazał się interesujący artykuł Janki Salamiewicza o Michale Federowskim. Jak wiemy (a może i nie wiemy) nasz wybitny rodak Michał Federowski ur. w 1853 roku w Warszawie, tamże zmarły w 1923 roku, członek Akademii Umiejętności, etnograf, jest autorem monumentalnej, sześciotomowej pracy z zakresu etnografii słowiańskiej pt. LUD BIAŁORUSKI, w której zebrał podania ludowe, baśnie, przypowieści, tradycje, obrzędy, pieśni, wierzenia i przesądy ludu białoruskiego z okolic Słonima, Lidy, Wołkowyska, Nowogródka itp.

Janka Salamiewicz zajmuje się w swej pracy głównie zbiorem pieśni ludu białoruskiego, które zarejestrował Federowski, omawia warsztat pracy naukowej, współpracowników, jak i współczesny dorobek białoruskich etnografów, którym za wzór stawia naszego rodaka i plon jego wieloletniej pracy. Salamiewicz powołuje się na liczne źródła, z których korzystał przy pisaniu swego artykułu, m. in. na rękopisy z Biblioteki U. W. na „Etnografię Polską t. IV, „Lud Białoruski", „Życie i prace Jana Karłowicza", „Literatura Ludowa" (1963), jak i na autorów białoruskich.

mk.

POLONICA

Przeszłość i teraźniejszość

Świadectwo i oskarżenie

Nie potrafię inaczej zatytułować omówienia tej książki. Długi tytuł **„Przygotowania niemieckie do agresji na Polskę w 1939 r. w świetle sprawozdań Oddziału II Sztabu Głównego WP"** (dokumenty), zebrali i opracowali M. Cieplewicz i M. Zgórniak" (Ossolineum 1969) mówi właściwie wszystko. Tak, oto pełne teksty najbardziej wówczas tajnych sprawozdań polskiej służby wywiadowczej z okresu od 22 kwietnia do 30 sierpnia 1939 roku. Materiały te dostarczano wtedy **tylko pięciu osobom:** Generalnemu Inspektorowi Sił Zbrojnych (marsz. E. Śmigłemu-Rydzowi), Ministrowi Spraw Wojskowych (gen. T. Kasprzyckiemu), Szefowi Sztabu Głównego (gen. W. Stachiewiczowi) i jego dwóm zastępcom. Nie miał do nich wglądu nawet premier. Teraz, gdy nie tylko zdjęto klauzulę tajności, ale ogłoszono je drukiem, możemy sami przekonać się, co adresaci mogli w nich wyczytać, co mogli wiedzieć i skonfrontować z tym, co i jak wyczytali i jakie były tego skutki w tragicznych dniach Września. Każdy z nas może z kolorowym ołówkiem w ręku nanosić na mapę Niemiec zawarte w cotygodniowych sprawozdaniach informacje o jednostkach wojskowych i ich koncentracji, w dniach bezpośrednio poprzedzających hitlerowską agresję na Polskę. Bo sprawozdania te są rzeczowe, szczegółowe, nie zawierają ocen, a przynoszą jedynie fakty ugrupowane w zależności od ich wagi i prawdopodobieństwa informacji. Mówią o wielkich lądowych jednostkach wojskowych, o przygotowaniu i przeprowadzaniu mobilizacji, o lotnictwie i flocie, pracach fortyfikacyjnych, zapalnej sytuacji w Gdańsku, nawet o hitlerowskiej propagandzie prasowej i radiowej, w tym i o audycjach radiowych w języku polskim.

Wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski zanotował w swym dzienniku, że na naradzie, która odbyła się na Zamku dnia 11 sierpnia marsz. Śmigły-Rydz — oznajmił, że wprawdzie posiada informacje o tym, że Niemcy przeprowadzają częściową mobilizację, nie przywiązuje jednak do tego większego znaczenia. Ponadto oświadczył, że „dostarczono mu konkretny plan ataku na Polskę, z wymienieniem dywizji i planów operacyjnych niemieckich. Sądzi, że są to materiały podsuwane, aby nas wprowadzić w błąd". Najpewniej chodziło tu o ogromnej wagi informacje, które udało się zdobyć estońskiemu attaché wojskowemu w Berlinie płk L. Jacobsenowi. Prawdopodobnie wskutek niedopatrzenia podczas swej oficjalnej wizyty w niemieckim Sztabie Generalnym w początku czerwca 1939 roku, został on skierowany do gabinetu, w którym wisiały mapy sztabowe, na których uwidoczniono obszary koncentracji wojsk niemieckich na Śląsku, Pomorzu i w Prusach Wschodnich, zaś strzałkami zaznaczono główne kierunki niemieckich uderzeń. Był to jeden z wariantów **rzeczywistego** niemieckiego planu wojennego, który został przez pomyłkę ujawniony płk. Jacobsenowi: ten poinformował o nim swego przyjaciela, polskiego attaché płk A. Szymańskiego, który natychmiast raportował o tym gen. Stachiewiczowi. Sprawozdanie tygodniowe nr 16 z dnia 5 sierpnia, które musiało być Rydzowi znane podczas posiedzenia na Zamku, zawierało szczegółowe informacje o przygotowaniach wojennych Niemiec, m. in. o przesuwaniu wielkich jednostek ku granicom Polski, powoływaniu rezerwistów itd. Sprawozdanie następne, z dnia 12 sierpnia rozpoczynało się od **kategorycznego stwierdzenia** o zasługującym na podkreślenie „narastaniu sił na wschodnim pograniczu Rzeszy, przede wszystkim na Śląsku i na Pomorzu oraz w północno-zachodniej części Słowacji, przesuwanych transportami kolejowymi i kołowymi z głębi Rzeszy; transportach morskich oddziałów i sprzętu z Rzeszy do Prus Wschodnich; licznych powołaniach rezerwistów i organizowaniu jednostek rezerwowych..." **O tym wszystkim można i trzeba było wiedzieć.**

Świadectwo i oskarżenie. Wydawcy są skąpi w słowach, nie chcieli „rozgadać się" we wstępie. Ogłoszone przez nich dokumenty mówią więcej, niż mógłby od siebie dodać wydawca. Dokumenty te świadczą, że Oddział II „posiadał dobre rozeznanie aktywnych jednostek Wehrmachtu, ale na skutek słabej znajomości niemieckich planów mobilizacyjnych nie zdołał rozpoznać większości dywizji rezerwowych i prawdopodobnie ten fakt głównie wpłynął na pewne zaniżenie ocen w stosunku do rzeczywistego obrazu niemieckiej koncentracji". W dniu 31 sierpnia 1939 roku polski wywiad wojskowy posiadał dobre informacje o 43 spośród 52 wielkich niemieckich jednostek wojskowych — tylko o jednej z nich wiadomości okazały się nieprawdziwe. Poza zakresem informacji Oddziału II pozostało ledwie 9 jednostek. Wywiad rozszyfrował prawidłowo rejony niemieckiej koncentracji a nawet kierunki niemieckiego uderzenia na Polskę oraz w przybliżonej mierze ustalił jego rozmiary. **„Naczelne Dowództwo uzyskało w zasadzie od wywiadu właściwy obraz sytuacji i dostateczną ilość materiałów informacyjnych, pozwalających na powzięcie zasadniczych decyzji"** — stwierdzają kategorycznie wydawcy. Informacje te były wprawdzie nieco zaniżone, ale Generalny Inspektor Sił Zbrojnych uważał, że i tak są zbyt „czarne". Stwierdzić należy, zaznaczają wydawcy dokumentów, że wywiad niemiecki dysponował — mimo nieporównywalnie większych środków — znacznie gorszymi informacjami o polskich przygotowaniach obronnych, w porównaniu z odpowiednimi materiałami polskimi o agresywnych krokach niemieckich. To mówi bardzo wiele.

Świadectwo i oskarżenie. Świadectwo o tym, że ktoś wykonał swój obowiązek. I o tym, że ktoś go nie wykonał — bo nie chciał, bo żył w świecie złudzeń. Oskarżenie, tragiczne oskarżenie.

JÓZEF GRZELAK

JERZY URBANKIEWICZ

Co to jest „BINGO"?

W NASZYM KRAJU GRA TA POSZŁA CHYBA ZUPEŁNIE W ZAPOMNIENIE, CZASEM BAWIĄ SIĘ W NIĄ DZIECI, JEŚLI WYCIĄGNĄ ZE STRYCHU WORECZEK NAPEŁNIONY DREWNIANYMI BECZUŁKAMI, NA KTÓRYCH OBU DNACH WIDNIEJĄ CYFRY. KAŻDY DOSTAJE SZTYWNY KARTON Z NUMERAMI, KTOŚ WYCIĄGA NA ŚLEPO BECZUŁKI, KTO PIERWSZY WYPEŁNI RZĄDEK, WYGRYWA. SŁOWEM — LOTERYJKA.

Gra ta pod nazwą „bingo" stała się ulubionym hazardem Anglików. Odbywa się publicznie, w obecności co najmniej dziesiątków osób, kto zaś zapełni rządek, wstaje i woła: „bingo!". Łączy się z tym anegdota następującej treści. Do londyńczyka — Hindusa przyjechał w odwiedziny krewniak z Indii i pyta, jakie są w Londynie religie. Bywają różne — odpowiada londyński krewniak — ale najważniejsze są dwie: kościół anglikański i „bingo". „Kościół anglikański znam — informuje krewniak z ojczyzny — a co to takiego „bingo"? — „Wyznawcy „bingo" zbierają się w swoim kościele, jeden celebruje nabożeństwo, wszyscy się modlą z trzymanych w ręku kart, a co jakiś czas ktoś wstaje i woła: „bingo!" Wtedy wszyscy inni wzdychają: „O, Chryste...".

Niedawno w londyńskim sądzie upadłościowym rozpatrywano sprawę pewnej kobiety, która straciła w klubie karcianym ponad 15 tysięcy funtów. Zaczęła grać, ponieważ przyjaciel usłużył jej życzliwą radą: że jeżeli chce przyjemnie spędzić wieczór, niech sobie pogra w klubie w brydża. Ale tego wieczora nie było brydżystów, zagrała więc w chemin de fer'a, że zaś uśmiechnęło jej się szczęście i wygrała kilkaset funtów, uwierzyła, że gra w karty — to jej powołanie. W pewnym momencie wygrane przez nią kwoty dosięgały 32 tysięcy funtów, ostatecznie jednak przegrała wszystko, pieniądze, biżuterię, futra oraz to, co należało do jej męża, a czego mąż nie zdążył przed nią ukryć. Został jeszcze dług w wysokości 4 i pół tysiąca funtów.

Ludzie grają masowo i masowo zakładają domy gry. Ustawa o grach legalizująca wszelkie formy hazardu stwarzała w założeniu równe szanse dla właściciela domu gry, jak i dla grających, znalazły się w niej jednak luki, dzięki którym domy gry nie upadają, a gracze często z nich wychodzą spłukani do nitki.

Istnieje w Londynie około 100 klubów gry różnego autoramentu. Są prymitywne, nie przebierające w gościach. Do takich wystarczy przyjść w krawacie, by stać się ich członkiem. Pojawiają się one i znikają zupełnie nieoczekiwanie. Jest kilka ekskluzywnych, do których trzeba być wprowadzonym przez siedmiu starych członków, a i to po uprzednim zbadaniu stanu finansów kandydata. Jak twierdzi jeden ze współwłaścicieli pewnego klubu, zależy im na ludziach, którzy mają trochę pieniędzy, nie dłubią w nosie i nie klną w czasie gry. Określenie zaś „trochę pieniędzy" oznacza, że nie chcą tam nikogo takiego, kto otrzymuje wynagrodzenie miesięczne, choćby nawet wysokie. Pożądani są tacy, którzy innym płacą tygodniowe, czy miesięczne pensje. Kluby ekskluzywne dbają o przepych wykończenia wnętrza. Kluby takie jak „The Pair of Shoes" (tzn. Para Butów) lub „The New Casanova" wydają po 80 tysięcy funtów rocznie tylko na umeblowanie i dekoracje. „Crockford's" czy „Victoria Sporting Club" mają po 45 stołów gry, 55 krupierów, 290 osób personelu; w dobrą noc przewija się przez nie po dwa i pół tysiąca graczy. Dochód takiego klubu za noc wynosi około 25 tysięcy funtów. Bez względu na bardzo wysokie podatki płacone za tego rodzaju działalność wspomniany klub Crockforda ma rocznie około 260 tysięcy funtów czystego zysku. Jeszcze jednym wskaźnikiem działalności klubu jest wysokość sum przegrywanych przez graczy. Otóż Crockford chwali się, że ktoś przegrał u niego na jednym posiedzeniu 25 tysięcy, klub „Victoria" ma na rozkładzie „nędzną" sumę 10 tysięcy funtów, a rekord należy do „Les Ambassadeurs", gdzie jakiś znany członek Izby Lordów przegrał jednego wieczoru 125 tysięcy funtów.

Współzawodnictwo takie stanowi swoistą reklamę, nie jest to jednak jedyna jej forma. Bogate kluby dają gościom — że tak powiem — darmo kolację i napoje wyskokowe. Crockford urządza bankiety, klub „Olympic" ofiaruje Rolls-Royce'a temu, kto największą ilość razy wygra pod rząd partię chemin de fer'a. Wreszcie klub „Victoria" urządza co miesiąc ulgową podróż samolotem z Nowego Jorku do Londynu, dając amerykańskim hazardzistom hotel i utrzymanie przez tydzień za 250 funtów. Wielka ta suma nie pokrywa przecież wydatków klubu, ale klub liczy, że Amerykanie zostawią znacznie więcej w postaci przegranych. Niestety, okazało się ostatnio, że 20 proc. przyjeżdżających za miast iść do „Victorii" i przegrać, po prostu zwiedza Londyn, albo nawet przesiada się od razu na londyńskim lotnisku i wali wprost do Paryża. Ha, cóż powiadają właściciele — jako ludzie żyjący z hazardu wiemy, że jest się raz na wozie, raz pod wozem.

Fot. J. Robakowski

Oczywiście znacznie więcej jest klubów tańszych, gdzie miejscowi i przyjezdni przychodzą na posiłek i przy tej okazji kupują żetony na ruletkę. Ale niektórzy podobno kupują żetony — zamiast posiłku.

Kuszenie losu odbywa się nie tylko w domach gry. Pola wyścigowe przedstawia ją sobą coś nie mniej imponującego niż wirująca tarcza ruletki, a do tego gracz na wyścigach jest zwykle znacznie bliżej pewności, że jego poczynania zależą nie tylko od kapryśnego losu, ale również od jego wiedzy o przedmiocie, czyli — jak on to nazywa — metody gry. Hunter Davies, autor kilku książek o Londynie w następujący sposób opisuje elementy gry na wyścigach. Po pierwsze potrzebny jest do tego koń. Jest on mocny, ciepły i przyjemnie na niego popatrzeć. Ma długie nogi, a także głowę i ogon. Na wierzchu jest dość szeroki, by unieść niewielkiego człowieka, a jest też, równie inteligentny oraz o wiele mniej fałszywy niż ci, którzy go hodują, kupują, trenują i na nim jeżdżą.

Drugi element to hazardzista. Jest to człowiek samotny, uczciwy i nietowarzyski. Charakteryzuje go głupota, brak logiki, próżność i tak przeciętny wygląd, jaki charakteryzuje resztę ludzkiego rodzaju. Nie ma ryzyka ani w jego codziennym życiu, ani w spodziewanej śmierci. Pożąda, czego nie ma. Jeśli coś ma, to twierdzi, że może się tego pozbyć.

Element trzeci — to pieniądze. One albo szeleszczą, albo dźwięczą. Mogą być wymienione na wiele rzeczy z wyjątkiem nieśmiertelności. Wielu ludzi lubi je — dla nich samych. Na przykład hazardziści. Lubią ich wygląd i lubią je czuć pod palcami. Ale najwięcej lubią myśl o ich łatwym zdobyciu.

I wreszcie element czwarty, to tzw. betting shop, czyli sklep z zakładami. Jest to miejsce, gdzie hazardzista stawia swoje pieniądze na konia, w przekonaniu, że będzie on najszybszy, i w przekonaniu, że najszybszy koń przejdzie metę przed innymi. Wierząc w coś podobnego, jest naiwny jak dziecko.

Jeżeli miasto przemysłowe Łódź ma jeden taki sklepik z zakładami, to Londyn ma ich 1.118 (wobec 16 tysięcy w Wielkiej Brytanii). Rozłożone są głównie po przedmieściach i mają cechy charakterystyczne dla danego przedmieścia. I dlatego w pobliżu placów targowych są one pełne przekupniów. W dzielnicach obfitujących w przedsiębiorstwa — są pełne ludzi interesu. Koło rozgłośni radiowej przyjmują zakłady radiowców, na West Endzie załatwiają interesy sklepikarzy, na Soho — kelnerów, w dzielnicy Hampstead — socjalistów, a na Denmark Street — wokalistów z pobliskiej szkoły muzycznej. Jest sklep odwiedzany prawie wyłącznie przez zachodnich Indian, a wszyscy oni stawiają tylko na ciemne konie. Wreszcie do instytucji tego rodzaju mieszczącej się przy Hammersmith Road, naprzeciwko wielkiej piekarni, przychodzą klienci w białych ubraniach z umączonymi twarzami.

Sklepy z zakładami urządzone są różnie, ale na ogół mało wykwintnie. Czasami rzuca się w oczy kilka sfatygowanych taboretów z wyślizganymi brzegami — to zdenerwowani gracze tak je wyjeździli, słuchając sprawozdania z finiszu. Do ścian poprzypinane są zwykle wycinki ze starych gazet pełne przepowiedni, które się przecież nie ziściły.

W niektórych sklepach wiszą na ścianach ostrzeżenia przeciwko złodziejom kieszonkowym, co ludzie mający poczucie humoru traktują jako dobry żart lub ironię. Nieodzownym szczegółem urządzenia wnętrza jest długa lada, lub okno do wpłacania zakładów. Za oknem — tylny pokój, w którym grupa pracowników szybko oblicza, kto stracił, jak dużo i jak szybko. Nad oknem głośnik — puszka Pandory, w której zawsze, po wysypaniu wszystkiego pozostaje jeszcze nadzieja. Wreszcie — na ścianie wisi deska do zapisywania poszczególnych biegów, imion koni i wyników. Pracownicy zajmujący się pisaniem tych rzeczy współzawodniczą między sobą, kto ładniej pisze, a palmę pierwszeństwa przyznaje się podobno niejakiemu panu G. Brescalowi z St. John's Wood. Przynajmniej on sam tak mówi. Zresztą — może to tylko chwyt reklamowy, bowiem i w tym interesie, wobec dużej konkurencji, reklama jest konieczna. Toteż można w oknie takiej instytucji przeczytać, że „jest to najlepszy sklep z zakładami na świecie", a na Whitechapel Road bywają wywieszane slogany typu: „Okazja dla ciebie fajna — zagrać dziś u Epsztajna".

Jeśli komuś nie odpowiadają wyścigi konne, może iść na wyścigi psie. A wreszcie istnieje tzw. „pool", czyli totalizator sportowy, tak chyba powszechny, jak u nas Toto-lotek, znany zresztą i w Polsce pod nazwą „angielskiej ligi". W „poola" lubią grać polscy emigranci, bowiem w świeżej historii Polonii londyńskiej jest kilka pokaźnych wygranych, wśród których suma 95 tysięcy funtów wygrana przed kilku laty przez pewną Polkę przeszła do legendy.

Jest w tym poznaczonym liczbami kawałku papieru miraż własnego domu, samochodu, splaty gnębiącego długu, albo wręcz — zapłata za uczucie hazardu, za prawo łapczywego wysłuchiwania szczegółów w radiowym komunikacie i trwającą minuty, godziny czy dni szczęśliwą myśl — „może tym razem...". I to wszystko jedno, czy za autentyczność tej myśli płaci się pensy, czy złotówki. Ale — jak uczy doświadczenie — zarówno z tamtej, jak i z tej strony kanału La Manche mało jest takich, którzy raz na tydzień wołają „bingo!", a bardzo wielu takich, co wzdychają „O, Chryste...".

spektakle tygodnia

	spektakli	widzów	proc.
TEATR WIELKI			
„Cyrulik sewilski"	1	1260	100
„Zemsta nietoperza"	1	1260	100
„Straszny dwór"	1	1260	100
„Faust"	1	1260	100
„Così fan tutte"	1	988	80
„Lohengrin"	1	1260	100
NOWY			
„Życie jest snem"	3	2100	100
„Kordian"	1	700	100
„Dziś do Ciebie przyjść nie mogę"	2	1400	100
MAŁA SALA			
„Mąż i żona"	4	600	75
„Kaprys" „Drzwi muszą być albo otwarte albo zamknięte"	3	300	75
POWSZECHNY			
„Boso, ale w ostrogach"	2	1320	100
„Advocatus diaboli"	1	1200	80
„Ojcowie rodzą się w szafach"	2	1300	98

KAROL BADZIAK

Po prostu Kutno

Kto w Kutnie nie był, podobno życia nie zna. Pojechałem poznać. Nie było to nawet takie trudne, ponieważ miasto leży na przecięciu szlaków komunikacyjnych. Łatwy przyjazd, łatwy wyjazd. Pod tym względem usytuowanie miasta jest znakomite. Mieszkańcy Kutna w pełni korzystają z tego przywileju. Jeżdżą. Do pracy w Łodzi, po zakupy do Poznania, na kawę do Warszawy. Ma to swoje skutki: nabierają wielkomiejskich obyczajów, manier, szlifu, wymagań, potrzeb, aspiracji i charakteru.

To zaledwie 30-tysięczne miasto nie ma w sobie nic małomiasteczkowego... poza wyglądem. A i wygląd ostatnio się zmienia. Powstało nowe osiedle mieszkaniowe, ponadto osiedle domków jednorodzinnych. Oczywiście Neapol to jeszcze nie jest. Zresztą miasto nie dziewczyna, którą za pomocą paru drobnych zabiegów fryzjersko-krawieckich można szybko zmienić z pasterki w paryżankę. Stworzyć miasto ładne, wygodne i nowoczesne, to sztuka, która wymaga wielu zabiegów, wytrwałości i szczęścia. Zabiegać w Kutnie potrafią, może jeszcze nie tak jak w Piotrkowie, ale się nauczą. Szczęścia również mają sporo. Jest to co prawda, szczęście negatywne, polega bowiem m. in. na tym, że dotychczas niewiele się tu budowało, a więc i niewiele zeszpecono. A dziś w budownictwie nie tylko kubatura, lecz i architektura się liczy. Możliwości się zwiększyły, perspektywiczne myślenie rozwinęło, urbaniści się podciągnęli. Dziś, żeby zacząć rozbudowę, trzeba mieć wizje przyszłości, posiadać plan perspektywiczny.

Kutno jako pierwsze w naszym województwie rozpisało konkurs na przebudowę miasta. Do zaprojektowania centrum zaproszono 11 zespołów, z Warszawy, Gdańska, Wrocławia i Łodzi. Do kształtu, który się wyłoni z konkursu, dostosowane zostaną plany. Jednym z założeń konkursu jest tendencja do scentralizowania miasta, by zbytnio nie rozrastał się jego obszar, z czym zwykle związane są potem kłopoty komunikacyjne. Centrum Kutna ma pójść „w górę" co najmniej na wysokość 10 piętra.

Jeśli przyrost naturalny i przypływ ludności do miasta będzie się odbywał w nie zmienionym tempie, to w latach 2000 Kutno doliczy się około 80 tys. mieszkańców. Plany centralne uwzględniają ten wzrost. Kutno zaliczone zostało do miast szybko rozwijających się. Dzięki temu ma szanse stać się stolicą podregionu.

Jeśli weźmiemy pod uwagę, że władzę w Kutnie sprawują ludzie rzetelnie myślący kategoriami gospodarczymi i społecznymi — można mieć nadzieję, że wykorzystają szansę i przyśpieszą rozwój miasta.

Kutno ma przed sobą duże perspektywy, choćby z tytułu swego położenia. Właściwie dziwić się należy, dlaczego dotąd miasto tak wolno rozkwitało. Biorąc pod uwagę, że liczy sobie ponad 1000 lat historii, jego wielkość jest rzeczywiście niewspółmierna do jego wieku.

Jak głoszą historycy (miejscowi) Kutno powstało już w 997 roku. Założycielem był niejaki Piotr, z pochodzenia Czech, z czeskiego Kutna. W XIV wieku miasto otrzymało prawa miejskie, magdeburskie. Aż do XVII wieku Kutno było miastem prywatnym, własnością potomków założyciela — Kucieńskich. Po śmierci ostatniego z rodu miasto przeszło na własność Andrzeja Zamoyskiego.

Dzieje Kutna nie obfitowały w jakieś nadzwyczajne wydarzenia. Najważniejsze daty w historii Kutna to: pożar w roku 1753, przejazd Napoleona w 1807 roku, budowa kolei w 1862 roku, przyłączenie do województwa łódzkiego w 1938 roku, no i najtragiczniejsza karta w historii miasta — bitwa pod Kutnem stoczona we wrześniu 1939 roku przez armię gen. Kutrzeby. Dla upamiętnienia heroizmu żołnierza polskiego w ubiegłym roku otwarto w Kutnie Muzeum Bitwy nad Bzurą. Dla upamiętnienia walecznego generała jedna z ulic miasta otrzymała jego imię.

Jak się rzekło, Neapolem Kutno jeszcze nie jest, niemniej posiada sporo zabytków o lokalnym zna-

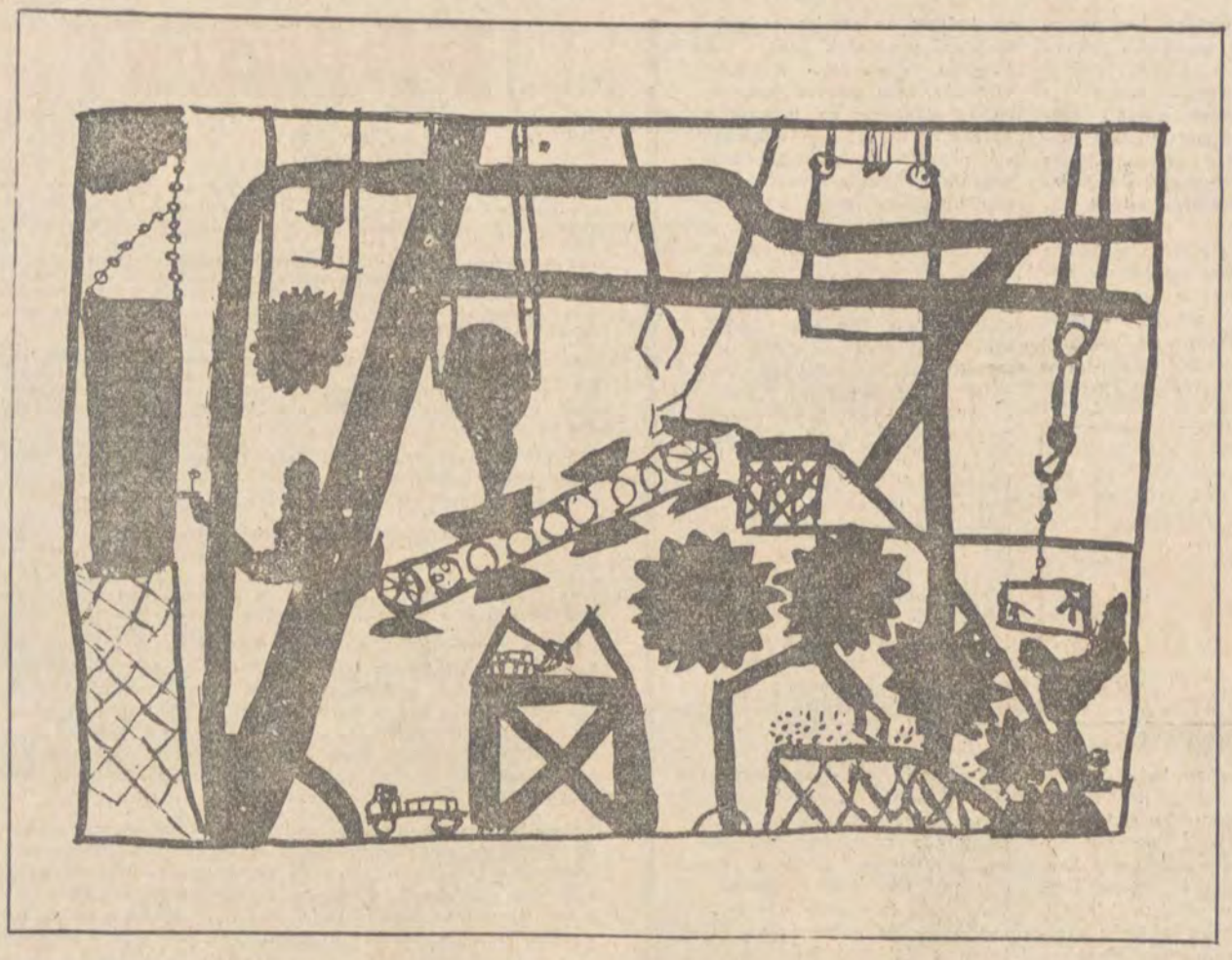

18 lutego 1970 r.
Sejmik
Siłaczek i Judymów
Ziemi Łódzkiej

TERESA WOJCIECHOWSKA

Rozmyślania o goleniu

Rzecz będzie o sprawie niezwykle subtelnej i nadzwyczaj drażliwej w życiu dziesięciu milionów obywateli PRL. Albowiem — jak głosi statystyka — tylu właśnie Polaków goli się. Jest to haracz płacony przez mężczyzn na rzecz cywilizacji rozdział w życiu mężczyzny najbardziej bolesny. A my się golimy! — odpowiadają mężczyźni, gdy kobiety mówią o swej ciężkiej doli, o tym, że rodzą, wychowują dzieci, pracują, prowadzą gospodarstwo domowe. Co jakiś czas powracająca moda bród jest niewątpliwie jakimś atawistycznym protestem przeciw goleniu. Ba, ale dzisiejsza broda często wymaga również użycia żyletki, tyle, że jeszcze bardziej precyzyjnego, dokuczliwego.

Podobno na początku była brzytwa, w dziewięćdziesiątych latach ubiegłego stulecia weszła w użycie żyletka, po II wojnie światowej usiłowała ją wyprzeć elektryczna maszynka do golenia, ale okazało się, że też ma swoje złe strony, więc płeć brzydka podzieliła się na zwolenników i przeciwników, a sytuacja ustabilizowała się. Aż do momentu, kiedy pojawiły się na rynku rewelacyjne żyletki ze stali stopowych, nierdzewne, do wielokrotnego użycia, pokryte warstwą syntetycznego tworzywa — teflonu. Wtedy to znów wzrosła liczba użytkowników żyletek właśnie tego typu. W Polsce oblicza się ich na około pięć milionów. To ci, którzy nie chcą używać zwykłych żyletek i nie chcą maszynek do golenia.

Najpierw były angielskie „Silvery", kupowane w komisach albo w Pekao. Potem pojawiły się „Polsilvery", polskie żyletki, produkowane na licencji angielskiej firmy „Wilkinson Sword". Produkcję rozpoczęto w końcu 1968 roku, na zeszłorocznych Targach Poznańskich otrzymały złoty medal, od stycznia bieżącego roku legitymują się znakiem jakości 1. „Polsilvery" powstają w Łodzi, w Łódzkich Zakładach Wyrobów Metalowych — WIZAMET, fabryce do tego czasu mało komu znanej, mimo, że jest to fabryka bardzo stara. W przyszłym roku będzie obchodziła 75-lecie istnienia. Starannie prowadzona kronika, której patronuje I sekretarz POP, Tadeusz Uciński, opisuje historię zakładu od najdawniejszych lat. Powstał jako niewielki warsztat mechaniczno - ślusarski, właścicielami byli Niemcy, w 1900 roku przekształciła się w fabrykę śrub i nitów. W jej dziejach, które są częścią dziejów widzewskiej klasy robotniczej, odnotowano walkę robotników o poprawę warunków pracy, strajki okupacyjne, aresztowania wśród załogi. Po ostatniej wojnie charakter fabryki został z grubsza zachowany, produkowała sprzęt teletechniczny i budowlany. Ale ten asortyment nie dawał szans rozwoju, hałaśliwość produkcji była uciążliwa dla otoczenia. Wreszcie fabryka stanęła przed alternatywą: zlikwidować, albo zmienić profil. Ministerstwo Przemysłu Ciężkiego wybrało to drugie. Fabrykę połączono w całość z dwoma innymi zakładami: Tkanin Technicznych w Zgierzu i Żyletek Extra — Łódź. Asortymentem zakładów, które wówczas otrzymały nazwę Łódzkich Zakładów Wyrobów Metalowych, były teraz nożyki do golenia, galanteria metalowa (m. in. maszynki do golenia) i tkaniny techniczne (różnego rodzaju siatki metalowe dla przemysłu).

* * *

Atymczasem w kraju dojrzewał problem ważki i bolesny. Dziesięć milionów, no, powiedzmy pięć milionów Polaków miało do dyspozycji żyletki Extra-Łódź i Rawa-Lux, wówczas bardzo niewysokiej jakości i wzbierał gniew w tych kilku milionach Polaków. Podobno historia udowodniła, że Polak, kiedy się rano źle ogoli, to przez cały dzień nic mu się nie podoba. A jeśli się goli co dzień? Proste — to mu się przez cały rok nic nie podoba. Strach pomyśleć, jak by wyglądało nasze szczęście rodzinne, gdyby się kilku milionom Polaków przez cały rok nic nie podobało. Więc całe szczęście, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane. I w ten sposób w niewielkiej łódzkiej fabryce powstała wielka produkcja żyletek o najwyższym standardzie. Wielka inwestycja wartości kilkudziesięciu milionów złotych, o całkowicie zautomatyzowanym procesie produkcji, o całkowicie nowej technologii, w oparciu o nowy surowiec.

Kiedy weszłam do gabinetu dyrektora zakładów, mgr inż. Andrzeja Zwolińskiego, właśnie oglądał telewizję. Zobaczyłam na ekranie jakieś laboratorium, ludzi w białych fartuchach. Prawda, to środa, zapewne „Ścigany"! Pan dyrektor ogląda „Ściganego"? ucieszyłam się. Dyrektor zachował się nadzwyczaj taktownie. Nie zgorszył się, ani nie parsknął śmiechem. Powiedział poważnie: „To telewizja przemysłowa, mamy sześć kamer w różnych punktach zakładu".

Bardzo się zawstydziłam, ale doprawdy do głowy mi nie przyszło, że tak może wyglądać zakład przemysłu ciężkiego. Cisza, spokój, wszędzie białe fartuchy — wygląda to raczej na laboratorium, czy zakład naukowy.

— Tak — mówi dyrektor — ta produkcja całkowicie zmieniła warunki pracy robotników, wyeliminowała ciężki wysiłek fizyczny, hałas, brud. Pełna automatyzacja procesu technologicznego sprawiła, że robotnik w zasadzie kontroluje tylko pracę maszyn.

— Czy wymagało to zmiany załogi?

— Nie, główny trzon stanowią pracownicy starzy, oczywiście przeszkoleni specjalnie do nowego rodzaju pracy. Bo wprawdzie eliminuje ona duży wysiłek fizyczny, ale za to wymaga stałego napięcia uwagi, ciągłej kontroli maszyn. W ciągu minuty schodzi z taśmy 300 żyletek, a więc kilka chwil nieuwagi w ciągu dnia ze strony każdego pracownika i straty byłyby poważne. Nasza załoga jest bardzo ofiarna i zdaje ten trudny egzamin, co jest szczególnie ważne w momencie, gdy przed nami stoi jako główne zadanie stabilizacja jakości i doskonalenie technologii. Dla utrzymania wysokiej jakości wprowadziliśmy „kompleksowe sterowanie jakością". Polega ono na kontrolowaniu jakości na wszystkich etapach produkcji. A więc badaniu surowca przychodzącego od wytwórcy i współpracy z wytwórcą, kontroli procesu technologicznego od każdego stanowiska robotnika poczynając i na stępnie na szerokiej współpracy z użytkownikiem kończąc.

* * *

— A właśnie, co mówią użytkownicy?

— Ich opinia jest dla nas niezwykle cenna, bo przy całkowitej automatyzacji nie zawsze możemy wykryć gdzie powstaje błąd. Opinie użytkowników, najbardziej nawet niefachowe, dają nam wskazówkę i kierują na właściwy odcinek produkcji. Do chwili obecnej otrzymaliśmy ponad dwa tysiące ankiet. Ponad 70 procent ankietowanych wysoko oceniło jakość „Polsilverów" i uznało, że dorównują jakością zagranicznym żyletkom tego typu. Około 25 procent orzekło, że są bardzo dobre, nie porównując ich z zagranicznymi z powodu nieznajomości tamtych. 5 procent uważa, że nie są bardzo dobre. Ale wśród tych niezadowolonych wiele osób po prostu niewłaściwie użytkuje „Polsilvery". A właśnie kultura użytkowania ma ogromne znaczenie. Bo...

I tu dyrektor techniczny, mgr inż. Czesław Gawroński opowiedział mi jak należy obchodzić się z „Polsilverem". Państwo nie mają nawet pojęcia jaka to delikatna rzecz taka żyletka. Prawie tak delikatna jak męska cera i zarost. Więc trzeba się z nią równie delikatnie obchodzić. Oto co panowie mają zapamiętać: przede wszystkim potrzebna jest odpowiednia maszynka, najlepiej typu „Gillette", albo „Wilkinson", bo najlepiej dostosowana do ostrza. Dalej: nie należy wyginać, nie należy dotykać palcami ostrza, nie wyjmować z aparatu po goleniu, chronić przed słońcem. No, a przede wszystkim golić się co dzień. I to dobrze umytą twarz. Jeśli się ktoś zaniedbuje, nie odczuwa codziennej potrzeby golenia, to niech się goli byle czym, a nie takim szlachetnym ostrzem. Noblesse oblige.

— Panie dyrektorze, czy Pan już zażegnał niebezpieczeństwo i dostarczył żyletek pięciu milionom Polaków?

— No, prawie. W tej chwili produkujemy około 50 milionów sztuk, w tym 10 milionów na eksport. No, i zakupiliśmy już drugą linię produkcyjną, która już w 1971 roku pozwoli nam wykonać 100 mln sztuk rocznie. Z tego 60 mln dla kraju, a 40 na eksport. Dotychczas eksportowaliśmy głównie do krajów socjalistycznych, po uruchomieniu drugiej linii chcemy wejść na rynki kapitalistyczne.

— Czy to prawda, że wszyscy pracownicy zakładów muszą golić się w pracy?

— Oczywiście, to obowiązek służbowy. Poza tym mamy grupy etatowych golarzy na terenie fabryki, mamy też kilka takich grup na terenie miasta, w różnych zawodach.

— A Pan czym się goli?

— Oczywiście „Polsilverami".

To był, zdaje się, drugi nietakt z mojej strony w ciągu jednej rozmowy. Ale ja przecież nie muszę się znać na żyletkach.

W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „ODGŁOSÓW"

- **Uniwersytet Łódzki wczoraj i dziś — mówi PROF. DR JÓZEF CHAŁASIŃSKI**
- **ANDRZEJ MAKOWIECKI — Zetrzyj swój cień**
- **Najlepsi z najlepszych — SEJMIK SIŁACZEK i JUDYMÓW**
- **25 LAT TEATRU „PINOKIO"**
  recenzje, felietony, nowela kryminalna.

---

czeniu i przede wszystkim kilka znanych zakładów, które liczą się w geografii gospodarczej kraju. W pierwszym rzędzie „Kraj" — Fabryka Maszyn Rolniczych oraz słynna i znana „Polfa" — duma polskiej farmacji i duma Kutna. Najnowocześniejszy zakład w mieście o pięknej architekturze przemysłowej, dużych osiągnięciach produkcyjnych i wspaniałej załodze.

Świadczy o tym pewne wydarzenie. Otóż swego czasu jedno z małżeństw, któremu znudziła się ojczyzna, postanowiło przed wyjazdem za granicę wykraść z „Polfy" tajemnicę produkcji leków. Usiłowali przekupić pracowników. Wszyscy bez wyjątku pracownicy, do których w tej sprawie się zwrócili, natychmiast meldowali o szpiegach gospodarczych organom milicji.

Bogate są tradycje ruchu rewolucyjnego w tym mieście. KPP miała w okresie międzywojennym w Kutnie 123 kadrowych działaczy. Historia walk tutejszych komunistów godna jest zresztą oddzielnego omówienia — myślę, że nawet monografii. Wspomnę tylko o walce strajkowej w 1920—1922 roku w fabryce „Kraj", w 1923—1927 — strajk kolejarzy, 1926 i 1937 rok — strajk szewców, 1937 r. — strajk robotników młynów. Każdy 1 maja był w Kutnie konfrontacją sił klasy robotniczej z policją. Do najbardziej pamiętnych należy rok 1931. Tak wspomina o tym jeden z nieżyjących już dziś działaczy kutnowskiej KPP — Wacław Szczepański:

„Od samego rana pogodnie. Jasny dzień. Dochodzi godzina 10. Formuje się pochód liczący około 800 osób. Bojowo powiewają czerwone sztandary, hasła zawieszone na drutach telefonicznych. Do zebranych przemawia towarzysz Szlęk. Po przemówieniu pochód kieruje się w stronę magistratu. Na czele czerwony sztandar KPP. Wokół ci, którzy gotowi są oddać życie za wolność. Manifestanci głośno domagają się chleba i pracy. Wszyscy kierują się w ulicę 29 Listopada. Mieści się tam więzienie, w którym siedzieli towarzysze walki i pracy. Wzmocnione oddziały policji atakują pochód. Trupem pada kobieta. Posypały się aresztowania, uwięziono 24 komunistów, między innymi: Józefa Grudzińskiego, Antoniego Sobczyka, Jana Banasiaka, małżeństwo Mistrzaków i innych".

Niedawno ku czci starych komunistów jedna z ulic Kutna została nazwana imieniem Wardów. Było to małżeństwo, które całe swe życie poświęciło walce rewolucyjnej.

W czasie okupacji hitlerowskiej wielu miejscowych komunistów zginęło w obozach. Ci, co ocaleli, przystąpili natychmiast po wyzwoleniu do budowy nowego ustroju. Z klasy robotniczej Kutna wywodzi się dziś spora grupa działaczy piastujących odpowiedzialne stanowiska w aparacie partyjnym i państwowym. Znają oni potrzeby miasta i możliwości jego rozwoju. Potrzeb tych jest dużo. Ażeby miasto mogło prawidłowo funkcjonować, niezbędny jest m. in. wiadukt i tunel, potrzebna jest kanalizacja, potrzebne są mieszkania, nowy szpital itd. Na mieszkania czeka w Kutnie ponad 600 rodzin. Najniezbędniejszy jest jednak wiadukt kolejowy. Miasto przedzielają bowiem tory. Przed opuszczonym szlabanem czekają dzieci, które udają się do szkoły, często czeka karetka pogotowia ratunkowego. Budowa wiaduktu z roku na rok jest, niestety, skreślana z inwestycji. Niejako ekwiwalentem było wprowadzenie miejskiej komunikacji samochodowej. Piękny to prezent dla miasta z okazji 25 rocznicy wyzwolenia. W przyszłym roku oddany zostanie do użytku blok dla 56 rodzin. Jeszcze pięć takich bloków, a potrzeby mieszkaniowe rodzin gorzej sytuowanych byłyby rozwiązane.

Na uwagę zasługuje budowa domu kultury. Jego projekt przynosi zaszczyt architektom. Na realizację budowy fundusze złożyły wszystkie zakłady przemysłowe w mieście. Gorzej natomiast przedstawia się sprawa na odcinku zdrowia. Już od dawna miastu potrzebny jest nowy szpital. Starania o to trwają 18 lat. Zdezaktualizowało się przez ten czas kilka projektów. Sprawa szpitala jest dość złożona i nie miejsce w tym artykule na szersze dywagacje na ten temat, niemniej wydaje się, że władze wojewódzkie winny w tym względzie wykazać więcej energii i zdecydowania.

Kutno jest nie tylko miastem ludzi pracy. Jest miastem ludzi pracowitych. To nie zwykły przypadek, że aż trzy zakłady w tym małym mieście produkują na eksport, przysparzając krajowi cennych dewiz. W tym mieście, jak mało w którym odczuwa się atmosferę pracy, wysiłku, gospodarności, rzetelności i społecznej postawy.

Porzekadło mówi, że kto w Kutnie nie był, ten życia nie zna. Coś w tym jest. Choć czas wyjaśnić, iż powiedzenie wzięło się stąd, że znajdowała się tutaj kiedyś knajpa „Życiem" zwana.

ADAM NONAS

Krynickie impresje

Niezbyt zachęcająco brzmią na ogół komunikaty w prasie, radio, czy telewizji głoszące, że wszystkie miejscowości wczasowe wypełnione są do ostatniego miejsca, a najgorzej przedstawia się sytuacja w szczególnie atrakcyjnych uzdrowiskach takich jak Krynica czy Zakopane. Nie jest to obecnie peregrynacja na miarę podróży imć pana Radziwiłła ale obawiam się, że karetą jechałoby się niewiele dłużej, a na pewno wygodniej. Łódź nie należy bowiem do miast rozpieszczonych przez dyrekcje PKP i PKS, a niektóre posunięcia trudno określić innym mianem niż skandal. Otóż ktoś wpadł na genialny zapewne, jego zdaniem pomysł, rozwiązania problemu połączeń drugiego co do wielkości miasta w Polsce z miejscowościami wczasowymi metodą dwóch wagonów, tzn. do dyspozycji łodzian udających się na wypoczynek oddaje się 2 (słownie: dwa!) wagony, które później doczepiane są do pociągu warszawskiego w Kutnie czy Koluszkach. Tak dla przykładu wyglądają połączenia z Krynicą, Zakopanem, Kołobrzegiem, Świnoujściem. Genialnemu wnioskodawcy życzyłbym tylko jednej takiej podróży w okresie szczytu urlopowego.

Inne miasta zabezpieczają sobie połączenia także przy pomocy autobusów PKS, a Łódź oczywiście znów jest poszkodowana — ma bodaj tylko dwa takie połączenia. Nie pomaga nawet ostatnio lekki dreszczyk emocji związany z podróżą koleją — Polacy nie należą przecież do bojaźliwych i pociągi nadal są pełne.

Miałem „szczęście" jechania pośpiesznym i za wyjątkowo szczęśliwe zrządzenie losu uznałem tylko godzinne spóźnienie w dodatku na tak długiej trasie jak Łódź-Krynica.

Pierwsze, niezbyt przyjemne zetknięcie z perłą naszych uzdrowisk ma niestety znów związek z PKP. Chodzi oczywiście o dworzec w pełni sezonu całkowicie rozgrzebany, zaś obok płotu odgradzającego remontowany budynek umieszczono tablice typu „Krynica wita miłych gości", bo przecież rozpoczęły się tzw. „Zimowe dni Krynicy". Zastanawiający był natomiast brak chmary pośredników proponujących wynajęcie kwatery. Czyżby więc enuncjacje prasowe okazały się prawdziwe? W tej sytuacji nie pozostaje nic innego jak skorzystać z rady wielkiej planszy polecającej usługi Hotelu Miejskiego. Sympatyczny pan z recepcji przywykł już do widoku naiwnych, którzy zawierzyli owej reklamie. Stwierdza, że oczywiście pokoi nie ma, ale postara się coś poradzić. Telefonuje więc do MOSTiWu, skąd otrzymuje dwa adresy, pod które z kolei z własnej inicjatywy dzwoni. Niestety już zajęte. Powtórny telefon do MOSTiWu i obdarzony jeszcze jednym adresem na przeciwległym krańcu Krynicy turysta może ruszać w drogę. Na szczęście pan z recepcji telefonicznie wezwał taksówkę, życząc jednocześnie pomyślnego załatwienia sprawy. Życzenie życzeniem a adres okazuje się nieporozumieniem. Mili skądinąd państwo tłumaczą cierpliwie, że jako żywo nie zgłaszali żadnego wolnego pokoju, a skąd MOSTiW wziął adres zaiste nie potrafią dociec. Może sąsiedzi będą coś mieli. Jednak i ta nadzieja okazuje się złudna.

Zatrzymany taksówkarz słyszał o jakiejś kwaterze, ale poprzedniego dnia, na drugim końcu uzdrowiska. Tu nawet nikt nie fatyguje się, by otworzyć. W tym momencie pamięć przynosi jeszcze jeden obraz przydworcowej reklamy: „Hotele pensjonaty „Orbis" — wyborowa kuchnia, uprzejma obsługa". W recepcji okazuje się, że są wolne pokoje a 154 zł dziennie od osoby. Nawet ta cyfra nie robi specjalnego wrażenia, gdy w perspektywie ma się możliwość rozkoszowania się komfortowym pokojem z centralnym ogrzewaniem oraz ciepłą i zimną wodą. Trzeba przyznać „Orbisowi", że w tym zakresie marzenie odpowiadało rzeczywistości. A podczas kontemplacji rachunku w zaciszu pensjonatowego pokoju ciekawszy od samych sum wydał mi się stempelek „Nie podlega odstąpieniu na rzecz cudzoziemca DEWIZOWEGO". Dużymi literami „Orbis" podkreślił wagę tego ostatniego słowa. Czego to jednak nasi rodacy nie potrafią wymyślić i do jakich kontrposunięć zmusić szacowne instytucje.

Ochłonąwszy nieco z pierwszych emocji szanujący się turysta winien udać się na zwiedzanie kurortu: Oczywiście: największa przyjemność to przejażdżka saniami. Rozmowa z gazdą jest krótka, godzinka jazdy i stówa się będzie należeć. Milsze i tańsze są spacery piesze wśród ośnieżonych świerków po stokach Góry Parkowej. Jednak i ona staje się kombinatem rozrywkowym. Oprócz kolejki linowej pracowicie pnącej się po zboczu, malowniczymi serpentynami wije się tor saneczkowy, a na szczycie króluje restauracja kategorii S. Ze szczytu można jednak zawsze spojrzeć w inną stronę — na panoramę Krynicy. Szczególnie efektownie prezentuje się ona wieczorem, gdy zapalą się liczne neony. Wszędzie słychać także różnojęzyczny gwar, Krynica przeżywa bowiem najazd turystów zagranicznych. Przyjechało również wielu Polaków emigrantów.

W pensjonatach „Orbisu" królują przedstawiciele sfer badylarsko-bazarowych, dającycy jedyny w swoim rodzaju spektakl próżności, pychy, głupoty i snobizmu. Rekordy wszakże bila pewna właścicielka straganu na jednym z bazarów, której nie zdarzyło się przyjść na posiłek dwukrotnie w tym samym stroju. Obcokrajowcy przyglądali się jej jak rzadkiemu, egzotycznemu okazowi zoologicznemu.

Krynica ze swej strony robi wszystko co może, by owym nuworyszom stworzyć szerokie możliwości pozbycia się nadmiarów finansowych. Jednym z przemyślnych „urządzeń" służących temu celowi jest „Cichy kącik" — restauracyjka uroczo położona w lesie o 4 km za Krynicą. Najlepiej dostać się tam saniami, za co gazda liczy sobie 150 zł, a z kolei delikwenta biorą w obroty kelnerzy, robiący wszystko, aby udowodnić, że „Cichy kącik" jest także drogim kącikiem. Aktywną działalność drenażową prowadzą także pozostałe lokale gastronomiczne uzdrowiska — „Hawana", „Zdrojowa", „Roma", „Wisła". Prawdziwi kuracjusze odwiedzają jednak przede wszystkim pijalnie, które stają się także w pewnym sensie ekskluzywnym klubem dla stałych bywalców przechowujących tam swe akcesoria potrzebne do codziennego rytuału picia wód zdrojowych. Stara pijalnia pęka już w szwach, ale za nią wyrasta już nowa — ze szkła i metalu. Krynica rozbudowuje się wyraźnie — wyrastają nowe wielopiętrowe sanatoria, a na obrzeżach bloki mieszkalne. Można więc mieć poważne obawy, czy nie straci ona swego regionalnego charakteru i nie stanie się drugim Zakopanem.

Rozwiązanie krzyżówki literackiej

Z nadesłanych rozwiązań KRZYŻÓWKI LITERACKIEJ, zamieszczonej w numerze 51/52 tygodnika „Odgłosy", wylosowano następujące numery kopert z rozwiązaniami krzyżówki: nr 90, nr 72, nr 24 i nr 87.

Szczęśliwymi zwycięzcami okazali się:

1. **Danuta Matuszyńska** — Łódź, ul. Berlińskiego 21 m. 15. nagroda — aparat do golenia.
2. **Stefan Piechocki** — Łódź, ul. Częstochowska 10 nagroda — budzik importowany.
3. **Irena Matejkowska** — Bronowo-Podkosacze, pow. Łomża nagroda — wydawnictwo albumowe.
4. **Zdzisław Futer** — Skördëvagen 2, Halmstad S-302 51, Szwecja — nagroda — wydawnictwo albumowe.

TP OBIEKTYW

Bez Stęposzczaka

W rozrywce telewizyjnej sytuacja wciąż niejasna. Przed paru miesiącami redaktor naczelny programów rozrywkowych TVP Witold Filler w sposób sugestywny i pozbawiony kompleksów zapowiadał bujny rozwój na tym polu. Na razie realizacja nie nadąża za obietnicami.

As atutowy w tej dziedzinie, a raczej dwa asy atutowe, to spółka Fedorowicz—Gruza. Ten duet w zasadzie nie zawodzi. Nowy cykl programowy „Kariera" nawiązał do lubianych i chwalonych powszechnie „Małżeństw doskonałych". Ale co poza tym?

„Przepraszamy za usterki"? Zaangażowano tegie satyryczne pióra, dobrych wykonawców. A efekt? Aż żałość bierze, jak mizerny! To nie jest program, na który się czeka.

W sobotę 31 stycznia nadano drugi program z cyklu „Stęposzczak show". Zdawałoby się: sprawa „bez pudła". Jarema Stępowski należy od pewnego czasu do najbardziej popularnych aktorów estradowych. Wprowadzenie jego osoby jako centralnej osi programu daje z miejsca handicap, ludzie oczekują występu z uśmiechem na twarzy.

Trzeba, zaiste dużej umiejętności, żeby te szansę pogrzebać. Autorzy programu „Uczta Nerona" osiedli te umiejętność. Nie pomógł Stęposzczak, show zawiódł na całej linii. Jak zresztą miał pomóc Stępowski, skoro go na dobra sprawę w programie nie było. Jedna piosenka na początek, nie umotywowana niczym przebieranka w Nerona w otoczeniu dworu jako finał — i to wszystko. Stępowski odegrał rolę przyznęty i pogłębił tylko rozczarowanie.

Może „Uczta Nerona" nie zasługiwałaby na uwagę, gdyby nie domagała się napiętnowania praktyka, jaka zastosowali realizatorzy programu. Mieli do sprzedania telewidzom pare numerów cyrkowych. Wyszłoby z tego chyba bezpretensjonalne widowisko typu variete. Ale postanowiono zrobić za wszelką cenę „bombowy" program.

Jak się do tego zabrano? Więc, jak mówiliśmy, podparto się Stępowskim. To nic, że nie ma on nic wspólnego z cyrkiem. Jest piewcą folkloru warszawskiego, folkloru przedmieść: Woli, Ochoty, Powiśla, Targówka. Tego folkloru już w życiu nie ma, ale pozostało jego miłe wspomnienie.

A zatem — rozumowali realizatorzy „Uczty Nerona" — trzeba Stęposzczaka powiązać jakoś z cyrkiem. Prawda! Warszawa miała przecież przed laty stały cyrk przy ulicy Ordynackiej. Zmieniał swoich właścicieli, przed wojną prowadzili go sławni bracia Staniewscy. Więc niech Stęposzczak zaśpiewa parę kupletów o dawnym cyrku, przerywanych „Marszem gladiatorów" i potem można już dać numery cyrkowe, „jak leci". Nie szkodzi, że będą to numery typowe dla współczesnego cyrku. Któż by się takim drobiazgiem przejmował!

Żeby zaś telewidzów nie znudzić, żeby zachować pozory, że program ma jakąś myśl przewodnią, wprowadzono przerywniki z Hanką Bielicką i Zdzisławem Leśniakiem. Tekścik dano tej parze lichy, na jedną nutę. Robili co mogli. Zwłaszcza Leśniak dwoił się i troił, grał z temperamentem swawolnego Dyzia, ale przecież nie mógł wypełnić pustki, jaka tchnęła „Uczta Nerona".

Całość zakończyła inscenizacja uczty, Stęposzczak jako Neron krzywił się bardzo na pięknie rozebrane baletnice, jakby nieczuły na wdzięki, a wreszcie zaśpiewał piosenkę z refrenem: „A ja się nudze, nudzę, nudzę..." W tym momencie wszyscy odczuliśmy chyba solidarność z aktorem.

Wniosek z oglądania „Uczty Nerona" może być tylko jeden: nie wolno robić programów rozrywkowych, gdy się nie ma pomysłu. Nie wolno wciągać w dodatku w przegraną z miejsca sprawę dobrych aktorów. Smutno było telewidzom rzeczonego sobotniego wieczoru przy odbiornikach.

Nie poprawił się chyba humor następnego dnia (1.II.) podczas programu łódzkiego „Znamy się tylko z widzenia". Teksty nierówne, niektóre bardzo trywialne, stary humor biurowy, strojący się w piórka satyry społecznej. Nie, nie za dobrze dzieje się w królestwie Fillera!

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Pierwsza wersja tytułu nowego filmu Henryka Kluby brzmiała „Warszawiacy", ostatecznie na ekrany wszedł film „SZKICE WARSZAWSKIE". Ta pozornie nieważna zmiana stanowi jednak dla twórcy istotne alibi — zwalnia go niemal formalnie z jakichkolwiek prób uogólnień dotyczących „warszawiaków", czy „warszawskości" w ogóle. Formuła szkicu daje reżyserowi wolną rękę zarówno w doborze tematów jak i w sposobie ich traktowania.

Efektem tego jest generalna różność trzech filmowych rowel składających się na „Szkice warszawskie". Różność ta dotyczy zarówno rejonów tematycznych i ich rangi jak i spraw poetyki poszczególnych nowel. Jedno wszystkie te nowele jednak łączy — obraz świata w nich przedstawiony jest wizją bardzo subiektywną. Kluba nie przenosi na ekran pełnych obrazów rzeczywistości autentycznej, filmowy świat buduje przez uchwycenie jej małych lecz charakterystycznych fragmentów.

Rzeczywistość rozbita i złożona na powrót zgodnie z przyjętą metodą, która prowadzi do deformacji obrazu świata, jawi się nam najsilniej i najsugestywniej w noweli pierwszej. Zrealizowano ją w oparciu o opowiadanie Tadeusza Borowskiego „Matura". Jej akcja rozgrywa się w filmie Kluby w dwu planach przestrzennych. Rezygnując z dosłownego opisu rzeczywistości reżyser dąży do absolutnej niemal kondensacji wydarzeń i takiej organizacji każdego niemal kadru, by nie tylko wywołać maksymalne napięcie emocjonalne u odbiorcy, ale także wciągnąć go przez ich bogactwo i wieloznaczność w dialog inetelektualny.

Kluba rzucając w pierwszej noweli swych „Szkiców" wyzwanie wszystkim naszym przeyzwyczajeniom percepcji obrazu filmowego, dołączył do niego swój bardzo szlachetny w tonie, emocjonalny stosunek artysty do świata, a także niesłychanie bogatą wyobraźnię. Czy zdoła Kluba wszystkich przekonać, iż efekty jego zamierzeń są autentyczną sztuką, czy tylko grą wyobraźni inspirowaną przez możliwości techniki filmowej? Na to pytanie odpowiedź nie jest prosta i jednoznaczna.

Wątpliwości spotęgowane są problemem „przystawalności" treści obu jednocześnie prowadzonych planów akcji. Opowieść o kilku chłopcach śpieszących na mature zderzona z niemal apokaliptycznymi obrazami jednego z dramatycznych dni okupacyjnej Warszawy w wielu scenach robi wrażenie ogromne. Okupacyjny maturalny epizod zyskuje treści uniwersalne, akcentując te postawy ludzkie, które pozwalają zachować godność, które „wiarę w dwumian Newtona" rzucają śmierci jako wyzwanie. W innych jednakże scenach ta sama opowieść zderzona z obrazami takimi, jak np. ów niezwykły orszak ślubny i twarze jego uczestników tuż za szybą pokoju, w którym odbywa się matura, daje efekt nie tyle nieprawdopodobieństwa, bo nie o to tu chodzi, lecz straszliwej sztuczności. „Nieprzystawalności" znaczeń nie wytłumaczy tu żadna metoda deformacji świata, nawet jeśli w ostatecznym rachunku ją zaakceptujemy.

Pierwsza nowela jest w tym tryptyku jedynym filmem w tonacji czarno-białej. Szkic drugi wchodzi na ekran atakując nas natychmiast bogactwem barwy. Służy ona realizacji wizji Warszawy, jakiej w zasadzie nie znamy, Warszawy — metropolii lśniącej światłami neonów, błyszczącej blaskiem szyb i bajecznie kolorowych witryn, służy uchwyceniu rytmu wielkiego miasta. W noweli tej dokonano również kondensacji rzeczywistości, co bardziej fotogenicznych obrazów miasta, którego imię mogłoby w tym filmie być każde. Uchwycenie obrazu tej bajecznie kolorowej, tętniącej rytmem metropolii wydaje się być celem głównym drugiej noweli. Ludzi tego miasta zgubiono zupełnie, może nie tyle ich, ile prawdę o nich.

Nowela trzecia jest także wyrazem zachłyśnięcia się urodą miasta, Warszawy tym razem już nie wielkomiejskiej i neonowej, lecz trochę prowincjonalnej, Warszawy zaułków Starego Miasta, kwiatów i zieleni oraz jej specyficznego folkloru. Jest to jednak również obraz Warszawy niezbyt prawdziwej, poddanej niemal zabiegom kosmetycznym. Upiększona, kolorowa, wesoła Warszawa zjawia się w girlandach kwiatów i oprawie pięknych dziewcząt. W tej części filmu niezdecydowanie twórców jest szczególnie wyraźne, balansują między liryką a groteską, a przecież o komiczne efekty tej ostatniej głównie mógł oprzeć się pomysł fabularny tej noweli. Nawet tak świetni aktorzy jak Michnikowski, Pawlik, Czechowicz i Paluszkiewicz, nie zdołali noweli tej uratować, gdyż u jej źródeł, niestety, leżała znów zła literatura.

Poza pierwszą nowelą, prowokującą i atakującą odbiorcę, pozostałe robią wrażenie wyłącznie sprawdzianu możliwości partnerstwa w nurcie tzw. nowego kina i dyskusji na temat ekspresyjności barwy. I dlatego te filmy nie zadowalają. Henryk Kluba swymi dwoma poprzednimi filmami i nowelą „Matura" kieruje nas przecież w inne rejony sztuki.

EWA NURCZYŃSKA

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

SKRADZIONE PIOSENKI

W ostatnich tygodniach, w San Francisco, w Toronto, w Chicago i w Nowym Jorku pojawiły się w handlu dwie kasetki z płytami — nagrania dwudziestu sześciu piosenek znanego i bardzo popularnego śpiewaka Boba Dylana. Zwraca uwagę specjalnie zła jakość tych płyt. Toteż nic dziwnego, że zarówno sprzedawcy jak i klienci zwracają się z licznymi reklamacjami do nowojorskiego przedsiębiorstwa „Columbia", które jest producentem płyt Dylana. Jak się jednak okazuje „Columbia" tym razem nie ma nic wspólnego z owymi płytami o złej jakości. Nagrania, jakie się ostatnio pojawiły zostały wykonane bez wiedzy Dylana i „Columbii". Otóż czterej młodzi Kalifornijczycy sporządzają w Vancouver w Kanadzie „dzikie" nagrania, wykorzystując do tego zapisy na taśmie magnetofonowej robione podczas występów estradowych Dylana, ze starych, próbnych nagrań z taśmy jeszcze z roku 1961 i innych dostępnych źródeł.

Bob Dylan

Większość wielkich przedsiębiorstw handlowych w Ameryce bardzo chętnie rozprowadza te płyty, robiąc na nich świetne interesy; mimo protestów „Columbii" i wszczęcia przez nią procesów sądowych przeciwko producentom z Vancouver. Handlowcy ze swej strony zarzucają wielkim koncernom, produkującym płyty, że wstrzymują nowe nagrania popularnych i wybitnych piosenkarzy, tylko dlatego, że stare płyty nie zostały jeszcze całkowicie wyczerpane.

Według zdania „Wall Street Journal" produkowanie płyt z kradzionymi nagraniami jest już w Ameryce niemal legalnym przemysłem. I tak na przykład poczas koncertów muzyki klasycznej w Carnegie Hall w Nowym Jorku tylu słuchaczy przynosi ze sobą, ukryte w torbach na zakupy lub pod marynarką, małe magnetofony, że śpiewaczka sopranowa Montserrat Caballé skarżyła się niedawno: „Cała publiczność nagrywa mój występ".

Jak obliczono, czterej producenci „dzikich" nagrań z Vancouver przy wypuszczeniu jednej tylko serii, zawierającej 7.300 płyt, mają sześć dolarów czystego zysku od egzemplarza.

NIEZNANA POWIEŚĆ HEMINGWAYA

Wdowa po Ernieście Hemingwayu oświadczyła podczas wywiadu na lotnisku w Buenos Aires, że nie ukaże się w najbliższym czasie korespondencja pisarza. Natomiast w przyszłym roku pojawi się, nie drukowana dotąd powieść fantastyczno - naukowa Hemingwaya.

MATISSE W ZWIĄZKU RADZIECKIM

Związek Radziecki posiada bodajże najwspanialszą na świecie kolekcję obrazów Matisse'a, tak pod względem ilości (ponad sto płócien) jak i ich wartości.

Rosyjscy kolekcjonerzy jeszcze przed Rewolucją, a następnie radzieckie muzea, okazywały żywe zainteresowanie twórczością Matisse'a. Malarz ten cieszył się w Rosji wielkim uznaniem i to w czasie gdy jego sława nie była jeszcze ugruntowana, a przez wielu nawet znawców sztuki, był niedoceniany.

W zeszłym roku, w stulecie urodzin wielkiego malarza, odbyły się wystawy

Matisse'a w Moskwie i Leningradzie, przy czym pięć płócien nadesłano z Francji.

Znane są żywe kontakty Matisse'a z Rosjanami. Malarz francuski przebywał wiele lat w Rosji, znał doskonale język rosyjski, przyjaźnił się z wybitnymi kolekcjonerami sztuki takimi jak Szczukin czy Morozow, malował na ich zamówienie obrazy.

Matisse przebywając w Rosji interesował się specjalnie malarstwem starych ikon zachwycając się zwłaszcza bogactwem ich kolorystyki.

W roku 1908 Szczukin zamówił u Matisse'a panneau dla swej moskiewskiej willi. Obraz miał przedstawiać taniec i zdobić klatkę schodową willi na pierwszym piętrze. Na drugim piętrze miało być drugie, podobne w wymiarach i stylu, panneau o temacie — muzyka. Obie te prace były gotowe już w roku 1910 i Matisse, nim je wysłał do Rosji, wystawił w paryskim Salonie Jesiennym. Dzieła te wywołały jednak sensację, a nawet skandal ze względu na śmiałe, jak na tamte czasy, przedstawienie nagich postaci. Szczukin przejęty najwidoczniej tymi wieściami odmówił zakupienia obrazów. W liście do artysty tłumaczył się, że niektóre z postaci owych panneau przedstawione są nie dość skromnie, a u niego w domu przebywają dwie młodziutkie dziewczyny. Później jednak Szczukin obrazy te kupił.

MUZYKA, KTÓRA MILCZAŁA PRZEZ DWIEŚCIE LAT

Salieri otruł Mozarta. Od dwustu lat panuje takie przekonanie choć nie mamy na to dostatecznych dowodów, Puszkin na podstawie tych podejrzeń napisał krótki dramat „Mozart i Salieri", przypisując Salieriemu winę za śmierć Mozarta. Od dwóch wieków milczy muzyka, którą stworzył Salieri, traktowany jako morderca. A Salieri był wybitnym kompozytorem. Jest twórcą czterdziestu oper, autorem wielu utworów muzyki kościelnej — kantat, koncertów, chórów.

Czy istotnie Salieri był mordercą? Jeden z ostatnich numerów radzieckiego magazynu „Sputnik" przynosi artykuł, w którym czytamy, że prof. Igor Belza, radziecki muzykolog znalazł szereg poszlak skłaniających go do przypuszczenia, że Puszkin miał rację. „Tak, to Salieri był winien" — twierdzi prof. Belza.

Ostatni numer radzieckiego miesięcznika dźwiękowego „Krugozor" również wypowiada się na temat Mozart — Salieri i co ciekawe, w części muzycznej znajdujemy fragment koncertu na flety i oboje z towarzyszeniem orkiestry, którego autorem jest Antonio Salieri.

Piękna to muzyka, która milczała przez dwieście lat.

„W sądowym procesie — słyszymy m. in. słowa jakie poprzedzają wykonanie koncertu nagranego na płycie „Krugozora" — który trwa prawie dwa stulecia należy się słowo i oskarżonemu. Tym słowem może być i jego muzyka, która być może skłoni nas do powątpiewania o jego winie". Dodajmy od siebie — winien Salieri czy nie winien, tego nie dowiemy się pewnie nigdy, natomiast jego muzyka warta jest słuchania.

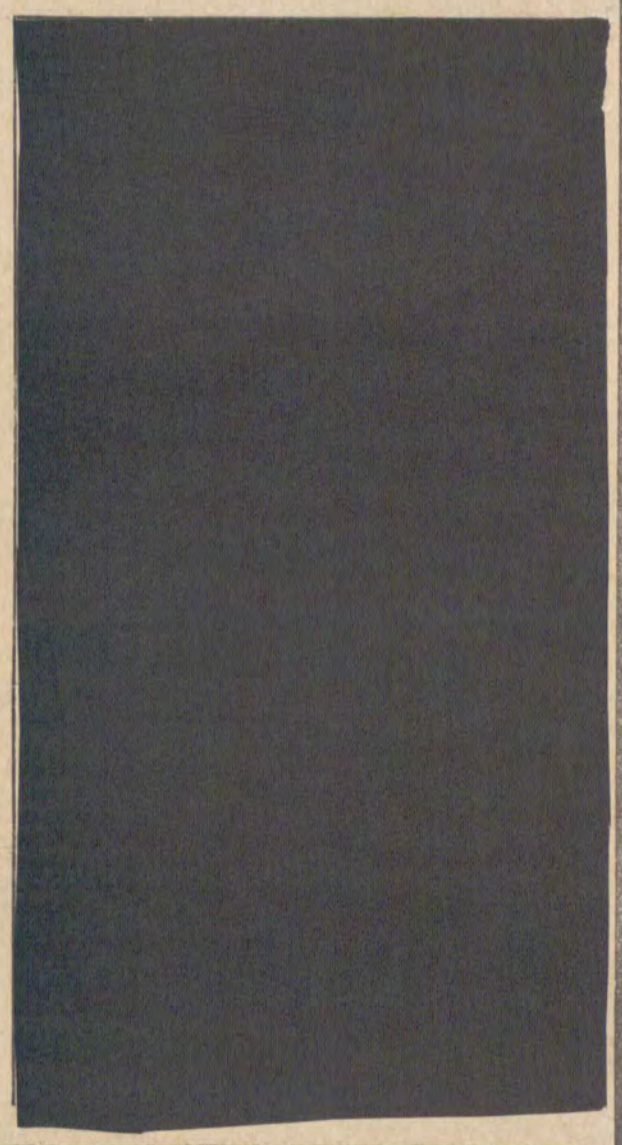

Bez strachu

MORSKIE KACZKI

Szydziłem z morskich kaczek, kwestionowałem ich byt, rację ich istnienia... Oto dawno już temu latem stara kobieta pokazała dziecku wrzaskliwe rojowisko mew. „Czy to kaczki, babciu?" — zapytało dziecko. „Tak, to na pewno kaczki, morskie kaczki..." Szydziłem wtedy z dziecka, i ze staruszki — jak można mewy białe, czerwonodzióbe mewy nazywać kaczkami — jak można, zwłaszcza, że kaczki morskie przecież nie istnieją. Psy morskie, lamparty morskie, konie morskie, słonie morskie, lwy morskie, krowy morskie — owszem znam i cenię to towarzystwo, cenię nawet świnie morskie, zacne morświny, znacznie mądrzejsze i piękniejsze od świń ziemi, ale nie mnóżmy bytów — kaczek morskich nie ma i basta.

Pewnego dnia włócząc się brzegiem morza (a prędzej bym wówczas uwierzył w człowieka morskiego, nie w „człowieka morza", bo to co innego), dostrzegłem osobliwe ptaki unoszące się na fali w towarzystwie mew, ale mewami nie będące. Upierzone intensywną szarością i czernią, o długich wygiętych szyjach, krótkich, szerokich dziobach, ptaki te stanowczo mewami nie były, chociaż żyły z mewami w przykładnej zgodzie. Kiedy tak oglądałem je płynące — jeden z nich dał nura i nie wynurzał się przez długie trzydzieści sekund. Kilkanaście sekund powietrza i znowu długa zapaść pod wodę, zapaść niewątpliwie łowiecka. Tak mewy nie polują, były to więc kaczki, zapewne kaczki morskie, żyły bowiem w morzu i morzem. Wtem poderwały się do lotu i popędziły lotem niewysokim i krótkotrwałym, ale niezmiernie szybkim, popędziły w głąb morza.

Istnieją więc kaczki morskie. Czy jednak mój nie dopowiedziany spór ze staruszką został rozstrzygnięty? Staruszka przecież pokazywała dziecku mewy, niewątpliwie mewy — mówiąc: „Oto kaczki!". Gdzie więc leży prawda, lub raczej gdzie porusza się i pędzi ptasia prawda tych rozmaitych stanowisk.

Jeżeli ktoś pokaże mnie dziecku i powie: „Oto lemur", powie nieprawdę, bowiem lemurem nie jestem. Ale ja rozeźlony tą naiwną enuncjacją krzyknę, nie, jak powinienem: „Nie jestem lemurem!", rozeźlony krzyknę „Nie ma w ogóle lemurów". Ten drugi okrzyk będzie nieprawdziwy, lemury bowiem gdzieś tam sobie istnieją, prawdą (przez wielu zresztą kwestionowaną) jest to tylko, że ja nie jestem lemurem.

Błądziliśmy oboje, staruszka głosząc, że mewy są kaczkami morskimi, ja mniemając, że kaczki morskie zgoła nie istnieją — oto nasze dwie nieprawdy. Tak myślałem chodząc po stwardniałej plaży, nad brzegiem zimowego morza. I oto z przybrzeżnej fali poderwało się kilkanaście kaczek i z nadzwyczajną szybkością popędziło w głąb morza. I cóż im, morskim kaczkom nasze maleńkie półprawdy, gdy pędzą w ostrym jodowym powietrzu, gdy opadają w ostrą zimną wodę...

BERNARD SZTAJNERT

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

Obiektyw na przemysł

OBRAZ CZY OBRAZEK? — DWIE OKAZJE — ELTA i ZPAF — BRZÓZKI, GĘSI CZY NOWA HUTA? — 10 PROCENT PRZEMYSŁU — GDZIE ISTOTA RZECZY?

To gromkie hasło brzmiące w tytule, to nie relikt z tzw. okresu minionego. To hasło w odniesieniu do artystów fotografików, wciąż aktualne wciąż żywe i wciąż... nie w pełni realizowane. A przecież jakie ogromne możliwości tkwią w przemysłowym krajobrazie dla oka kamery i oka artysty. A przecież do przeszłości należą już historie, które opowiadają starzy dziennikarze. Otóż Jerzy Janicki w swojej książce „Biografia w walizce" opowiada jak to fotografik czy fotoreporter, aby zrobić kilka zdjęć z placu budowy czy fabryki, najpierw musiał uzyskać kilka ministerialnych zezwoleń, potem odczekać tydzień, aby wreszcie w przemysłowym krajobrazie zobaczyć nie kipiący życiem plac, ale schludne laboratorium. Bowiem na przyjęcie fotoreportera robiono zwykle porządki — czyszczono, zamiatano, ustawiano w pryzmy cegły, a stalowe konstrukcje w pedantyczne rzędy, że zniknął tętniący życiem obraz i rodził się... obrazek. Nie z życia, a z bajki.

— Dziś nikt nie czeka na przepustki — to przemysł czeka na fotografików, którzy jednak niezbyt często przychodzą do przemysłu.

Dwie są okazje i dwie przyczyny, dla których piszę dziś o tych sprawach. Pierwsza to znakomita i nowatorska inicjatywa łódzkiego Związku Polskich Artystów Fotografików oraz Fabryki Transformatorów i Aparatury Trakcyjnej „ELTA". Otóż fabryka zaprosiła do siebie na cały dzień czternastu fotografików, którym powiedziano: „oto wielki przemysłowy temat — róbcie zdjęcia, jakie chcecie i gdzie chcecie..."

I oto mamy dziś wystawę blisko osiemdziesięciu fotogramów, na których pokazano człowieka i pokazano ogrom przemysłowego kolosa, na których pokazano wysiłek człowieka i pokazano efekt tego wysiłku — ogromne konstrukcje maszyn i urządzeń. Możliwości artystycznej wypowiedzi było tu wiele — i możliwości te wykorzystano w sposób artystycznie świetny. Prace E. Przybyłowicza, J. Płażewskiego, M. Zapędowskiego, Z. Czajkowskiego, A. Idzińskiego — zresztą wszystkie eksponowane prace! — stanowią naoczny i namacalny dowód na poparcie powyższej opinii. Kto chce niech to sprawdzi w Salonie Fotografiki przy ul. Piotrkowskiej 102.

Za parę dni wystawa przeniesiona będzie z centrum miasta na Teofilów — właśnie do „ELTY" i tam już pozostanie. Łódzcy artyści — fotograficy przekazali bowiem swe prace fabryce, która była modelem, tematem i źródłem artystycznych kompozycji. O inicjatywie ZPAF i „ELTY", podjętej z okazji 25-lecia PRL, można mówić tylko z uznaniem.

Ale jest i druga okazja i druga przyczyna dla której podjąłem „fotograficzny" temat.

Oto album wydany w Warszawie przez ZPAF, album noszący w tytule także cyfrę jubileuszową — „25 lat fotografiki polskiej". Prawda — piękny to album, choć wydany na nie najlepszym papierze. Są tu piękne krajobrazy, brzózki i wierzby płaczące, tańczący górale i rodzajowe scenki — to wszystko, co rzecz prosta określa w jakiś sposób rzeczywistość naszego kraju. Ale ta rzeczywistość — przypominam — ma lat 25 — taka cyfra widnieje w tytule. Ile więc tego przemysłowego krajobrazu w albumie, który stanowi podsumowanie ćwierćwiecza, w czasie którego Polska stała się krajem **przemysłowym**?

Kartkuję piękny album i widzę gęsi, kwiaty, ruiny, las, pola, kobietę z balią, kapliczkę, portrety... Wszystko bardzo piękne — autorami prac są najwybitniejsi polscy fotograficy, ale... zaczynam liczyć. I na 131 fotografii doliczam się... 12 (słownie **dwunastu**) prac, których tematem jest przemysł i praca człowieka przemysłu. Żeby ktoś nie powiedział, że się czepiam, wliczam do tej „dwunastki", także portret rybaka i banalny portret włókniarki (o ileż ciekawsze rozwiązania tego ostatniego tematu widzieliśmy na łódzkiej wystawie W. Parysa w ZPB im. Marchlewskiego)!

Odkładam więc album, w którym na 131 prac tylko niecałe 10 procent poświęcono sprawom, które dla naszego kraju były i są tak żywe i tak istotne. Odkładam ten album — rozdrażniony i rozczarowany, bowiem za pięknie brzmiącym tytułem, za zobowiązującą jubileuszową cyfrą kryje się tak mało z **istoty rzeczy** dziejących się w Polsce w ciągu ćwierćwiecza.

Stosunek 131 do 12, owe niepełne dziesięć procent przemysłowej tematyki w albumie na 25-lecie, to właśnie 25-lecie, w którym zbudowaliśmy w Polsce potężny przemysł? Proszę mnie dobrze zrozumieć — to nie jest zarzut pod adresem fotografików — to zarzut błędnej koncepcji i złego wyboru owych 131 prac, reprezentujących polską fotografię artystyczną. Że jest inaczej, że tematyka przemysłowa (choć wciąż nieśmiało) przyciąga oko artysty dowodzi łódzka inicjatywa ZPAF i „ELTY". Nie tylko zresztą. Dowodzi też znakomity zestaw zdjęć M. Holzmana w jednym z ostatnich numerów „Projektu", gdzie artysta zaproponował oryginalne i dowcipne spojrzenie na maszynę, aparaturę, przemysłowy sztafaż. W sumie więc — nie załamujmy rąk, niech tylko hasło „ obiektyw na przemysł" będzie nadal realizowane. A album spiszmy sobie bez żalu na straty.

JERZY WIDOK

TIM MORRISON

UCIECZKA

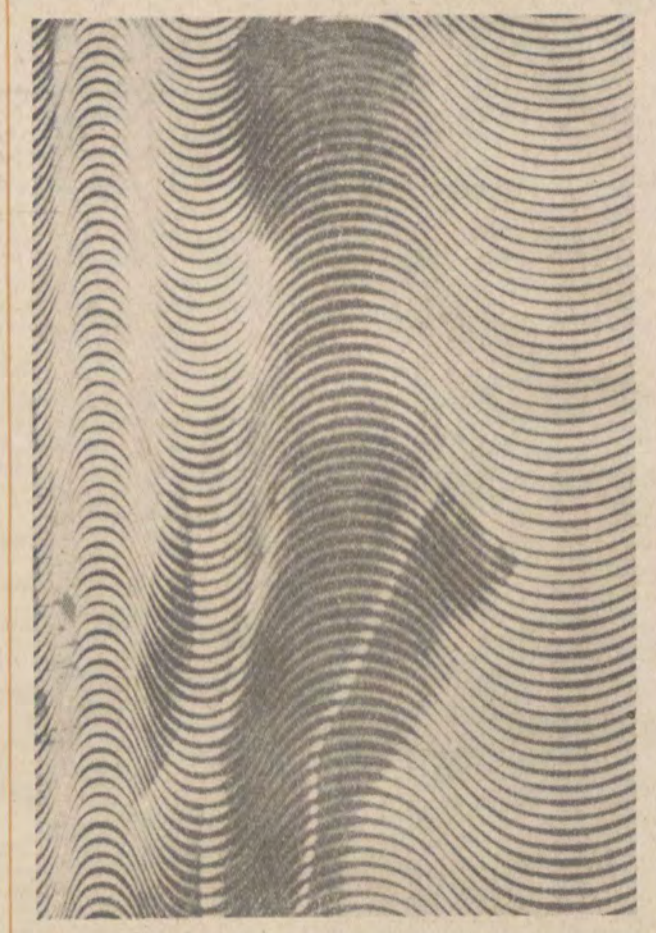

Albert Wass obserwował codzienny spacer więźniów. Zauważył swego przyjaciela, Jamesa Binga i mrugnął do niego porozumiewawczo. James odłączył się od grupy.

— Wszystko przygotowane? — zapytał Albert.

— Tak... — Jutro w nocy — szepnął James.

— Boję się...

— Musi się udać, mam dobrą obstawę. Za dziesięć tysięcy dolarów słabnie powaga munduru.

Albert zamyślił się. Wiedział, że Bingowi ma pomagać strażnik więzienny, nie ufał jednak nikomu. Początkowo wydawał mu się, że plan był doskonały, potem zaczął wątpić. Lecz już nie można było się cofnąć. James miał jeszcze dziewięć lat do odsiedzenia, a już załamywał się psychicznie — przez kobietę. Tą kobietą była Liz, żona Binga. Albert zawsze myślał, że taką miłość można zobaczyć tylko na ekranie. Zdawał sobie sprawę, że James skończy w domu wariatów, jeśli nie zrobi czegoś, co umożliwi mu powrót do domu.

☆ ☆ ☆

W ciszy nocnej rozległa się syrena alarmowa. Albert spojrzał na księżyc i obliczył, że mogła być druga godzina. Otwarto żelazne bramy. Powietrze wypełniła piekielna wrzawa. Słychać było wycie syren, szczekanie psów. Na szosę wyruszyły samochody.

— Zbyt szybko wykryli ucieczkę — zaniepokoił się Albert. Z sąsiedniej celi usłyszał głos Browna. — To James Bing... Jak sądzisz, złapią go?

— Dowiemy się jutro. Znam jego plan, powinno się udać, jeżeli będzie miał trochę szczęścia.

Tej nocy w więzieniu Ceytown w Kansas nie zmrużył oka żaden z dwóch tysięcy więźniów. Wszyscy denerwowali się, czy James Bing da sobie radę.

Następnego dnia rano więźniowie pod silną eskortą zostali wyprowadzeni na dziedziniec. Zabroniono im rozmawiać. Pod ścianami jeżyły się lufy karabinów maszynowych. Dyrektor więzienia stanął przed mikrofonem.

— Za chwilę zobaczycie coś pouczającego. Patrzcie i pamiętajcie!

Otwarto boczne drzwi, weszło dwóch mężczyzn z noszami. Pod prześcieradłem leżał martwy człowiek. Pielęgniarze odsłonili twarz.

— Tak, to jest James Bing. Niedaleko stąd odszedł. Został zabity, gdy próbował ucieczki.

☆ ☆ ☆

Albert Wass leżąc na swej pryczy czekał na wiadomość. Chciał się dowiedzieć kto zabił Jamesa. W więzieniu istniał tajny system porozumiewania się, umożliwiający przekazanie każdej wiadomości. Wkrótce otrzymał informację: Zabójcą jest agent Ned Higgs.

Albert rozmyślał: James i tak nie wytrzymałby tych dziewięciu lat, oszalałby lub popełniłby samobójstwo. Nie mogłem mu pomóc, mój pobyt w tym piekle kończy się za miesiąc.

☆ ☆ ☆

Albert został wypuszczony na [redacted] mogła wy-

[redacted] swój nu-
[redacted]lika Aberta
[redacted]lnera. Na-
[redacted]Joe odszedł.
[redacted]mpana. Ko
[redacted]u się uważ
[redacted]że pragnął
[redacted]l ja także.
[redacted]bisał o wa-
[redacted]n wszystko

[redacted]załem o to-
powtarzał:
[redacted]mu się nie
[redacted]wspanialszą
[redacted]łem w cią-
[redacted]mego życia.
[redacted]ames miał
[redacted]kowy naro-
[redacted]robisz z pie

[redacted]kto pomoże
Florydzie,
[redacted]ie indziej.
[redacted]. — Piękna
[redacted]ma co mó-

[redacted]nasze spot-

[redacted]wychodzili
[redacted]rowadził pio
Mieszkanie
[redacted]i skromnie

[redacted]się wokoło.
[redacted]ale ty po-
[redacted]pszego.
[redacted]do Alberta.
[redacted]ebuję?
[redacted]Waldorf A-
[redacted]ziemy?
[redacted]czy się mój
[redacted] Wolę nie

wanie kasy — bo pieniędzy tam już nie było. Jeżeli chcecie wiedzieć co teraz zrobię, to nie ukrywam swych planów. Zostanę tu jeszcze przez jakiś czas, a potem w Nowym Jorku otworzę sklep kolonialny, lub coś podobnego. Skończyłem już z kasami i z więzieniem.

— Wszyscy tak mówicie, a przy pierwszej okazji... Zobaczymy się niedługo, Wass, nie wątpię w to.

Wieczorem Wass poszedł do klubu „Sto Krzeseł". Był to lokal I kategorii. Kelner Joe Cassia był przyjacielem Alberta.

— Joe, rzekł Albert — chciałbym, żebyś mnie przedstawił pani Liz Bing. Słyszałem, że jest niezwykle piękna kobieta.

— To nie takie łatwe. Liz od miesiąca z nikim nie chodzi, od tego czasu, gdy zastrzelono jej męża w więzieniu.

— James Bing był moim przyjacielem. To ja przygotowałem plan ucieczki z więzienia.

— Lepiej żebyś jej o tym nie mówił. Jeżeli chcesz poznać Liz, musisz zaczekać do północy, wtedy właśnie rozpoczyna swój numer.

Albert dobrze o tym wiedział. O północy zobaczył Liz. James miał rację. Jak taka zrywać przed terminem, to rzuca cień na karierę. A ja zrobię karierę, prawda, Albercie?

Sprzątaczka Grazia przychodziła do Liz codziennie o godzinie 11. Otwierała okna i przygotowywała śniadanie, a potem budziła Liz. Pewnego dnia Grazia otworzyła drzwi i przeraziła się. Mieszkanie wyglądało jakby przeszedł tędy cyklon. Szafy i szuflady wypróżnione, bielizna rozrzucona na podłodze. Kobieta wpadła do pokoju Liz. — Pani Bing! ...Co się stało?

Liz nie żyła. Leżała w pokoju na dywanie, otwarte oczy wyrażały przerażenie. Ktoś ją udusił.

Kobieta wybiegła z krzykiem na korytarz.

Inspektor William Poyer zjawił się u prokuratora okręgowego i przedstawił mu swoją koncepcję: Wass przyjaźnił się z Jamesem Bingiem. Prawdopodobnie uważał, że Liz jest odpowiedzialna za śmierć męża. Jak tylko znalazł okazję, pomścił przyjaciela. Już od kilku tygodni Albert i Liz stanowili nierozłączną parę. Liz była w nim zakochana.

Prokurator nie był zbyt przekonany, wolałby dowody. Jednak zatwierdził nakaz aresztowania Alberta Wassa.

Albert uciekł przed aresztowaniem. Joe Cassia dał mu schronienie. Pewnego dnia Albert zwrócił się do przyjaciela z prośbą: — Chciałbym, abyś posłał kogoś do mieszkania Liz. Potrzebna mi jest rzecz, która jest schowana w tym domu. Tylko ja i Liz wiedzieliśmy gdzie jest ukryta. Wiesz, że ja nie zabiłem Liz. Ten, kto ją zabił, wiedział o istnieniu tej rzeczy i dlatego wywrócił mieszkanie.

— Prawdę mówiąc, nie mam nikogo, kto mógłby tam iść.

— A więc ja sam pójdę.

O drugiej w nocy Albert wszedł do domu Liz. Zapalił elektryczną latarkę. W łazience wymontował różową ampię i wyjął z niej kluczyk z napisem: „Bank Oszczędności. Dział skrytek". Potem zszedł na dół i otworzył bramę. Przed wejściem stało trzech policjantów.

Inspektor obudzony o trzeciej ucieszył się, gdy zobaczył Alberta. Zdziwił się, że ten nie stawiał oporu i gotów był zeznawać. Albert położył na biurku kluczyk, który zabrał z mieszkania Liz.

— Oto kluczyk od skrytki bankowej pani Bing. Powiedziała mi kiedyś: „Gdyby mi się coś stało, wyjmij kluczyk z ampli i zanies policji". Ale ja nie wiem co znajduje się w skrytce.

W dwie godziny później na biurku inspektora leżał mały pakunek. Otworzono go. Wewnątrz była taśma magnetofonowa. Przyniesiono magnetofon.

Mówiła Liz głosem pełnym irytacji. Odpowiadał mężczyzna: — Nie możesz mnie opuścić Liz, dla takiego szubienicznika jak Albert!

Liz: — A dlaczego nie? Za kilka dni wyjadę do Nowego Jorku i najlepiej będzie, jeżeli się więcej nie zobaczymy.

Mężczyzna: — Liz, nie doprowadzaj mnie do rozpaczy! Wiesz, co dla ciebie zrobiłem!

Liz: Wiem, zabiłeś mego męża. Tak, panie Higgs udawałeś, że mu pomagasz w ucieczce z więzienia, aby go zabić! To było morderstwo.

Mężczyzna: — Popełniłem je dla ciebie, obiecałaś wyjść za mnie.

Liz: — A teraz ci się przyznam, Ned. Nie miałam nigdy zamiaru poślubić cię. Posłużyłam się tobą, abyś zabił tego łobuza, Jamesa. A obecnie mam inne plany.

— Mężczyzna: — Pół miliona dolarów Wassa — to jest twój plan! Nie myśl, że ci się uda, nie pozwolę ci odejść.

Inspektor połączył się z więzieniem w Ceytown. Rozmawiał z dyrektorem. — Proszę zapamiętać kajdanki waszemu agentowi Nedowi Higgsowi. Uważajcie — to człowiek niebezpieczny!

Potem zwrócił się do Alberta: — Liz na pewno zapoznała Neda z taśmą telefonicznie i zagroziła mu policją. Wściekły Ned zadusił ją, a potem szukał w domu taśmy magnetofonowej.

Albert wstał aby odejść. Inspektor go zapytał: — A jak z tym pół milionem? Czy już go wydałeś?

Albert odwrócił się i rzekł: — Nie istnieje i nie istniał. Odłożyłem trochę dolarów, aby je przepuścić z tą kobietą. Domyśliłem się, że to ona zorganizowała zabicie Jamesa i nie przebaczyłem jej tego. Chciałem doprowadzić Higgsa do ostateczności i nakłoniłem Liz, aby go porzuciła. Udało mi się. Sprawiedliwości stało się zadość.

Dwie godziny później Albert siedział w samolocie lecącym do Nowego Jorku. Miał niewiele bagażu. Lecz dużą torbę trzymał bez przerwy na kolanach.

Oprac. A.S.

Lewym okiem

CZEMERYŃSKI Z SIEMIANOWIC

W jednym z dużych obozów jenieckich, w czasie, kiedy tam przebywałem, grasował bezkarnie niejaki Czemeryński. Była to postać pełna fantazji i dowcipu, zawadiacka, ale też i warcholska, złośliwa, nie licząca się z żadnym systemem wartości. Czemeryński przekazywał swym rozmówcom sensacyjne wiadomości z frontów, Czemeryński słuchał angielskiego radia, miał świetnie poinformowane kontakty, odszczekiwał się wachmanom, tworzył dowcipy, które potem obiegały wszystkie obozowe baraki. Czemeryńskiego widziano jak gotował gęstą kaszę w menażce w dniu, kiedy kuchenny krupnik był lekko zabieloną wodą. Wynosił w nogawkach ziemniaki z magazynu przykuchennego i krasił je margaryną — cała kostka margaryny była dla Czemeryńskiego czymś zupełnie powszednim. Z blankietów listowych, przeznaczonych na lewe, nielegalne rozdzielnictwo poza normalnym przydziałem, Czemeryński musiał szabrować połowę, bo ciągle otrzymywał listy, a nie mógłby otrzymać, gdyby sam nie wysłał. Czemeryński wyjął z latryny deskę żeby wzmocnić swoje posłanie i potem pewien starszy sierżant wpadł niefortunnie a śmiesznie. — Pokażcie mi tego idiotę Czemeryńskiego — krzyczał i klął soczyście. Aleśmy mu nie pokazali. Nikt Czemeryńskiego nie widział. Czemeryński po prostu nie istniał, był umownym znakiem, liczbą urojoną, której brakowało w skomplikowanym równaniu codziennych, drobniutkich, a dokuczliwych spraw.

Dobrze mieć takiego Czemeryńskiego, któremu można wszystko przypisać. Jakże często ten czy ów pracownik mojej instytucji tłumaczy się z wielkim ferworem: „oni się zawsze muszą spóźnić"; „nie mogę się z nimi dogadać"; „znów mi tu głupstw nawypisywali'.

— Z kim się kolega nie może dogadać? Kto to są „oni"? — pytam niewinnie, wiedząc z góry, że nikt inny, tylko Czemeryński. Aż przyjemnie spotykać tak często ślady starego druha...

— Może wreszcie zrobią porządek z tym dziurawym mostem — mówimy w powietrze. — Dobrze tu w gazecie napisali, ale bo to oni będą czytać?

— Znów nie pomyśleli o tym, że drzwi powinny się otwierać do środka, a nie na zewnątrz. — Jak człowiek zachoruje, to się nie zatroszczą. — I tak dalej. O kim myślimy, wygłaszając takie strzeliste akty żalu, nadziei, rozczarowania? O nikim. O kimś tam. A przecież powinno się myśleć realnie: o Czemeryńskim.

Trochę podobnie przedstawia się sprawa z lokalizowaniem zdarzeń w przestrzeni i w czasie. Nawet najbardziej dziecinne bajki czuły potrzebę jakiegoś umiejscowienia swej akcji: „za górami, za lasami...". Niezbyt dokładnie, ale zawsze coś. „W Polsce, to znaczy nigdzie" — pisał diabolicznie Jarry w swej komedii „Ubu król, czyli Polacy". Nowsi współcześni pisarze i dziennikarze są ostrożniejsi po co się komuś narażać? Piszą: „w pewnym kraju" albo wymyślają kraj, wcale nie istniejący. W Polsce — to znaczy nigdzie. W Farlandii — to może znaczyć „wszędzie".

W naszym kraju miejscem, szczególnie nadającym się do najdziwniejszych wydarzeń, są Siemianowice. Nie wiem dlaczego, ale dla każdego czytelnika „Polityki" jest to fakt oczywisty. Tygodnik ten prowadzi na ostatniej stronie rubryczkę „Coś z życia. Przeczytane, zasłyszane". Jest to rubryczka „michałków" ale zechciejcie poobserwować ją przez dwa — trzy miesiące. Najbardziej nieprawdopodobne śluby — w Siemianowicach. Zdumiewające spotkania — w Siemianowicach. Ktoś spada z mostu komuś na głowę — okazuje się, że to mąż pierwszej żony na żonę drugiego męża, a jednocześnie żołnierz frontowy na sanitariuszkę, której szukał od trzydziestu lat: w Siemianowicach. Ktoś wygrywa większą sumę w Toto-Lotka i stwierdza, że odnośny kupon włożył dla draki teściowej do grobowca — w Siemianowicach. Skoro tak, to nie mówmy od dzisiaj: — Gdzie się podziało moje zdrowie? — Skąd by tu wytrzasnąć rolkę higienicznego papieru? — Gdzie spędzić naprawdę tani, naprawdę spokojny urlop pod gruszą?

Mamy symbol, mamy potrzebną liczbę urojoną: Siemianowice.

Czemeryński nam tam wszystko załatwi.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 259. H-4.